Nr. 78. Lwów. — Sroda dnia 4 kwietnia. Rok 1888.

PRZEGLĄD

polityczny, społeczny i literacki.

Wychodzi codziennie z wyjątkiem dni poświątecznych.

Cena prenumeraty:

We Lwowie bez dostawy:	Na prowincji z przesyłką pocztową
Miesięcznie zł. 75 ct.	Miesięcznie 1 zł.
Kwartalnie 2 „ 25 „	Kwartalnie 3 „
Półrocznie 4 „ 50 „	Półrocznie 6 „
Rocznie 9 „ — „	Rocznie . 12 „

Za dostawę do domu miesięcznie 25 ct.

Numer kosztuje 4 centy

Prenumeratę z dostawą do domu we Lwowie należy składać w Biurze Dzienników, ul. Karola Ludwika Nr. 9.

Prenumerata tak miejscowa jak i zamiejscowa winna się kończyć z końcem miesiąca, kwartału, półrocza lub roku. Innej się nie przyjmuje.

Z zamiejscową prenumeratą zgłaszać się należy do Administracji „PRZEGLĄDU“ we Lwowie, przy ul. Sykstuskiej. L. 45. Zmiana zamiejscowej prenumeraty na miejscową i odwrotnie jest niedopuszczalna.

Uprasza się prenumeratę przysyłać przekazami pocztowemi, a nie w kopertach. Osoby przysyłające pieniądze w kopertach raczą dopłacać po 5 ct. do każdego listu.

Miejscową prenum. we Lwowie przyjmują

Trafika J. Ważnego, przy ulicy Czarnieckiego liczba 2. — Trafika przy ulicy Karola Ludwika liczba 5! — Trafika przy ul. Ossolińskich (obok Łazienek Diany). — Biuro Dzienników, przy ul. Karola Ludwika liczba 9.

Rękopismów Redakcja nie zwraca.

Dziś: Izydora B sk.
Jutro: Wincentego Ferar.

Adres Redakcji i Administracji Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 5 m. 29 0
Zachód „ „ 6 „ 35 0

Długość dnia g. 13 m. 6 0
Przybyło dnia 3 0 min.

Przegląd polityczny.

Ostatni numer brukselskiego tygodnika *Nord* cały jest nastrojony elegijnie; i w artykule wstępnym, pisanym zwykle w kancelarji rosyjskiego posła przy belgijskim dworze, i w liście petersburskim, i nawet w politycznych notatkach z całego świata *Nord* dość niewyrobionym głosem — jak słowik na początku maja — śpiewa arje pokojowe a rzewne. Nic dziwnego! Włosi kończą wojnę abbisyńską, we Francji nie wiadomo co będzie, w Anglji kadencja parlamentarna wzmocniła stanowisko lorda Salisbury'ego, a w Niemczech doktrynerstwo cesarza złożyło broń przed logiką ks. Bismarka Jakże tu pobrzękiwać pałaszem?

Najciekawsze jednak jest to, że *Nord* potwierdza sobotnie doniesienie *Pol. Corr.*, iż „na liczne nasze zapytania zewsząd otrzymaliśmy zaprzeczenie pogłoski jakoby Rosja przedstawiła mocarstwom nowe propozycje w sprawie bułgarskiej“. Ciekawy jest ten artykulik *Norda* oryginalnością rozumowania, więc go przytaczamy tem chętniej, że jest krótki.

„Oprócz nic ostatecznie nieznaczącego zajścia z włoskim okrętem „Solferino“, ubiegły tydzień minął całkiem spokojnie, — pisze *Nord*, widocznie ignorując bukareszteńskie wypadki. — Kwestja bułgarska tak stoi, jak w dzień zgonu cesarza Wilhelma; rokowania nad jej rozwiązaniem chwilowo są całkiem przerwane. Jednak niebawem będą one znów wdrożone, czego widocznie się obawiają w otoczeniu „uzurpatora“ bułgarskiego, o czem wnosić można z krzątaniny ks. Ferdynanda i podróży jego matki. Ponieważ zgoła nie można wątpić o tem, iż Niemcy i nadal będą popierały rosyjską politykę względem Bułgarji, przeto ostateczny jej tryumf jest niezawodny i tak widoczny, że doprawdy nadziwić się nie można stanowisku Austrji. Państwo to ma ogromne kłopoty. Socjalizm i antisemityzm potężnie wichrzą w niemieckich prowincjach monarchji Habsburgów (Jak się to komu podoba?); słowiańskie prowincje są prawie wolne od tych dwóch agitacyj, ale natomiast germanizacja jątrzy je okrutnie (I to także wyborne!). Germanizm w ogóle jest w Austrji siłą rozczyniającą monarchję wewnątrz i zewnątrz. Ale tak już dużo powiedziano o akcji austrjackiej w Belgradzie, Sofji i Bukareszcie, ze o tem nic nowego powiedzieć nie można i niepodobna spodziewać się odmiany austrjackiej polityki wschodniej. A przecież jest to zupełnie niezrozumiałe, dla czego wiedeński gabinet trwa na tej drodze. Wszakże berlińska prasa bez żenady głosi, że zapalny stan kwestji bułgarskiej jest tryumfem niemieckiej polityki, dążącej do utrzymania Rosji i Austrji w nieporozumieniu, aby przez to Niemcy miały hegemonję polityczną. Ubolewać trzeba, że hr. Kalnoky tak źle rozumie intencje wielkiego męża stanu Niemiec!... Ze wstąpieniem na tron cesarza Fryderyka nastąpił perjod łagodnej stagnacji i uśmierzenia się międzynarodowych stosunków. Stało się to po części wskutek choroby cesarza, po części zaś gwoli jego osobistych uczuć. I stan ten będzie trwał nawet w takim razie, jeśli Austrja da swej burzliwej polityce bardziej wyraźne piętno i jeśli nawet będzie prowokowała zbrojne starcie z Rosją: carat pozostanie niewzruszony, spokojny, wyczekujący rozwiązania bułgarskiej sprawy...“

Bardzo pięknie, bardzo pochwalnie, że Rosja będzie taka niewzruszona, spokojna i wyczekująca rezultatu intryg, które jej agenci rozsnuwają w Bułgarji. Nawet prowokacja austrjacka nie wzruszy tego jagnięcia — naturalnie! Przecież na Francją nie można dziś liczyć, bo nie wiadomo co tam będzie; Włosi są wolni od Abbisyńczyków, Salisbury w Anglji silnie stoi, a w Niemczech ks. Bismark znów jest panem położenia. Ale jakie to pomięszanie pojęć w redakcji *Norda*, wspólne zresztą całej prasie rosyjskiej, jaka niekonsekwencja! Naprzykład: germański duch popycha Austrją na wschód bałkański, kiedy wiadomo, że to, przeciwnie, jest objaw procesu innego. Albo to znów: Bismark pragnie stałego poróżnienia się Rosji z Austrją, a jednak nakłania Austrją do zgody z caratem. Albo wreszcie ta ignorancja, pozwalająca głosić, że w Austrji antisemityzm, socjalizm i germanizm potężnie wstrząsają państwem!

W innem miejscu *Nord* notuje, że nieprawdą jest, jakoby między Watykanem a caratem bliska była zgoda.

Z Paryża donoszą, że w sobotę wieczorem parlament zebrał się na krótkie posiedzenie, niezwoływany przez nikogo, po prostu z własnej inicjatywy deputowanych, którzy nawykli uważać się za najwyższą władzę, od której wszystko depenuje, nawet prezydent republiki. Owóż w poczuciu tego samowładztwa izby, deputowany Dugué de la Franconnerie postawił następujący wniosek: „Parlament uchwala, że się rozwiązuje i rozpisuje nowe wybory.“ Biedny p. Carnot, bez ceremonji zabierają jego atrybucje, a on sobie siedzi w Elizejskim pałacu. Jednakże wniosku tego republikańska większość nie przyjęła, rozumiejąc, że wybory teraz przeprowadzone dałyby monarchiczną większość.

Skoro Floquet zostanie szefem gabinetu, to jego stanowisko przewodniczącego w izbie deputowanych ma zająć Brisson, ten sam, który już tę godność zajmował, zanim poszedł na szefa rządu, aby po kwartale upaść i zasiąść jako zwykły deputowany na długiej ławie upadłych ministrów. Zresztą w całym oportunistycznym obozie chyba już nie ma ani jednego członka, którýby bodaj raz nie był ministrem.

W Londynie wykryto spisek irlandzki, ukuty na życie ministra dla Irlandji, p. Balfoura. Zamierzono zamordować go w jego własnem londyńskiem mieszkaniu w chwili, gdy on miał przyjechać do stolicy. Balfour otrzymał list ostrzegający go o niebezpieczeństwie, więc natychmiast zawiadomił policją i ta od razu złowiła zaczajonych ptaszków, których wziąwszy na język, cały spisek wykryła.

Kursuje pogłoska, której jedni zaprzeczają, inni wytrwale podnoszą, że niebawem księżniczka Wiktorja, najstarsza córka cesarza niemieckiego, zaślubi ks. Aleksandra Battenberga, któremu cesarz Fryderyk nada tytuł królewskiej Wysokości. W sferach dworskich dawno mówiono, że księżniczka Wiktorja zakochała się na niewidziane w bohaterze z pod Śliwnicy i oświadczyła, że nikomu innemu ręki nie odda. Dodają do tej pogłoski, że za zgodą Rosji Battenberg wróci do Bułgarji. Ten dodatek można śmiało rzucić do kosza. Jeśli wróci, to chyba bez zgody Rosji, ale w ogóle trudno przypuszczać, żeby mógł wrócić. Jego zaś małżeństwo z księżniczką Wiktorją miałoby niezawodnie ogromne polityczne znaczenie.

Korespondencje.

Wiedeń 1 kwietnia.

(?) Na katolicką Wielkanoc jeszcze się Rosji nie udało Wschodu zaburzyć, lubo nie brakło usiłowań. Może się jej uda na schyzmatycką Wielkanoc, jeżeli nie wszędzie, gdzie miny podkłada, to może przecież na jakiemś jednem miejscu. Niepowodzenia Rosji, które sama na siebie od kilku lat ściąga, nie są wprawdzie dla tego kolosu zabójcze, ale z tem wszystkiem są tak widoczne, że ją w wysokim stopniu kompromitują i oczywiście szkodliwie wpływają na jej jawne, dyplomatyczne działanie. Dziwnie niezręcznie biorą się teraz do rzeczy agenci rosyjscy. Zamachy na Bułgarję były niedołężne, zostały stłumione bez trudności, bohaterowie rosyjscy, jak Naboków, zostali ośmieszeni. Ściągano potem Czarnogórców do Konstantynopola i Adrjanopola, lecz nawet turecka policja musiała porządek zrobić z tymi bryganiami, a do Bośnji i do Serbji nie puszczono ich, mimo, że jako głodni, o wsparcie żebrali. Rozmaite ulotne pamflety rozrzucane przez t. z. emigrantów bułgarskich rozszerzały wiadomości, że w Bośnji wybuchło powstanie, że bandy miały już krwawe starcia z wojskiem. Organa ogłaszane w Bukareszcie po bułgarsku i po francusku za pieniądze i pod inspiracją Hitrowa, posła rosyjskiego, powtarzały te pamflety, a wskutek tego przeszły te kłamstwa nawet do angielskich dzienników. Nie było w tem wszystkiem ani słowa prawdy, tak, że dziwić się potrzeba, iż agenci rosyjscy używają do propagandy kłamstw tak niezręcznych, które faktami zostają natychmiast dementowane, więc zupełnie chybiają celu. W Bośnji i Hercogowinie zupełny spokój i wybiera się tam właśnie arcyksiążę Rudolf na objazd, jako naczelny inspektor piechoty. W obecnej sytuacji podróż ta i ta dbałość przedewszystkiem o stan wojsk w Bośnji i Hercogowinie mają oczywista nietylko fachowe, ale i ogólne polityczne znaczenie. Jeżeli prowincje te nie znają cesarza i tak się okoliczności składają, że cesarz tych krajów nie odwiedza, to jest wskazanem i pożądanem, żeby one poznały następcę tronu, a nawzajem następca tronu, żeby tam pozyskał dla tronu i dynastji przywiązanych poddanych i przyjaciół.

Z równą niezręcznością postąpił sobie Hitrowo w samym Bukareszcie. Mimo licznych już niepowodzeń w Bułgarji chciał zastosować tę samę metodę do Rumunji, żeby rewolucję wywołać w Bukareszcie, a zapomniał, że przecie Rumunja jest krajem dosyć już dawno do porządku przyprowadzonym. Hitrowo, jak się okazuje, pozyskał kilku bojarów, a za głównych agentów używał redaktorów swoich pism. W planach swoich ta banda rozwydrzonych indywiduów zapomniała snać zupełnie o tem, że ręki im nie poda ani ludność stolicy, ani także wojsko. Ludność najzupełniej do rozruchów się nie przyłączyła, a wojsko okazało się karnem i lojalnem.

Powstaje tedy pytanie: więc któż owe rozruchy urządził? Odpowiedź daje śledztwo: za pieniądze rosyjskie najęto i sprowadzono z prowincji bandy włóczęgów wszelkiego rodzaju; Catorgiu sam sprowadził 300 cyganów — i tym sposobem stworzono tłum, z którego pomocą zamierzano ni mniej ni więcej tylko króla obalić i dokonać rewolucji na rzecz Rosji. Hitrowo chciał dokazać wielkiej rzeczy; zdobyć Rumunją dla Rosji, otworzyć jej drogę dla jej wojsk w pochodzie do Bułgarji, a może dałoby się osadzić w Bukareszcie bojara, sługę cara, jakto dawniej nieraz bywało. Nędznie się ta awantura skończyła, ale może się powtórzyć. Otóż znawcy stosunków zapewniają, że jest tam sytuacja taka: król i rząd muszą działać z całą bezwzględnością, burzycieli więzić i karać najsurowiej bez względu na stanowiska ich i protekcje, inaczej bowiem spokoju krajowi nie zapewnią. Jeżeli okażą słabość, łagodność, to opozycja bojarsko-rosyjska, dzika i sprzedajna, znowu nabierze otuchy. Interes Europy wymaga, żeby się tam dynastja utrzymała, która z zachodem łączyć się chce i musi. Jest to placówka niemiecka, ale dzisiaj z natury rzeczy Rosji przeciwna, tak jak każdy wyzwolony na wschodzie kraj musi stać się nieprzyjacielem Rosji i bronić się przed pożarciem. Ks. Bismark znał trudności i królowi to dzisiejszemu rumuńskiemu powiedział, gdy został zapytany czy mu radzi przyjąć rumuński tron: „będzie to miłe wspomnienie“. Od owego czasu zmieniły się stosunki na wschodzie, nie sama Rumunja jest zagrożoną i w razie niebezpieczeństwa powstałaby solidarna, wspólna obrona kilku krajów, bez tworzenia nawet związku bałkańskiego.

Na teraz więc stwierdzić tylko można nowe fiasco działań Rosji nieurzędowej, która jednak używa do nich urzędowych swoich figur. Hitrowo za swoje niezręczności w Bułgarji i w Rumunji zasłużył już, żeby poszedł w „duraki.“

Bukareszt 30 marca.

(Z.) Od poniedziałku mamy tu dni gorące, na wulkanie. Chyża iskra elektryczna przyniosła wam już wieści o zaburzeniach, jakich widownią stały się tu i trybuna parlamentarna i ulica dzięki niestety tej okoliczności, że naród, który nie dojrzał jeszcze, bo i nie miał czasu po temu, do użycia swobód politycznych w całej pełni, otrzymał je zbyt prędko, zbyt raptownie, ażeby ich od razu nie nadużyć. Pomińmy jednak refleksje filozoficzne, a przejdźmy do przedstawienia faktów.

Zaburzenia wywołała, jak wam pewno już wiadomo, mniejszość opozycyjna, która spodziewała się, że drogą awantur ulicznych i skandalu parlamentarnego dojdzie do owładnięcia rządów. Szło o obalenie Bratiana, któremu z wielkim trudem udało się jako tako złożyć gabinet. Już w poniedziałek padły nań gromy z opozycji. Większość odpowiedziała na to urządzeniem bankietu na cześć Bratiana w teatrze narodowym. Manifestacja ta może nie była potrzebna; w każdym razie wywołała ona jeszcze większe rozdażnienie i dała opozycji pożądaną sposobność do przeniesienia walki na ulicę. Tłum, który zrazu zebrał się pod teatrem z prostej ciekawości i zachowywał całkiem spokojnie, rozgrzany przemowami jakichś młodych ludzi, dziennikarzy i posłów z opozycji, ruszył przed pałac królewski, gdzie przywódzcy tego ulicznego ruszenia zapragnęli audjencji u króla. Jak wam zapewne już wiadomo, samozwańcza ta deputacja ludowa nie osiągnęła zamierzonego celu, wyproszono ją grzecznie za drzwi. Tłum wył na ulicy i doprowadził do tego, że musiały wystąpić wojsko i żandarmerja i wobec prowokującej postawy tłumu użyć broni. Krew się polała niestety, ale wkrótce też przywrócono chociaż pozorny porządek. Król podczas tej sceny ulicznej zachował zupełny spokój. Rozmawiał właśnie z posłem austrjackim hr. Gołuchowskim i z posłem niemieckim.

Nazajutrz wstała opozycja pokrzepiona do nowej walki. Już z rana udała się jej delegacja ponownie do pałacu królewskiego. Król przyjął ją tym razem na dłuższej audjencji, która skończyła się jednak bez pomyślnego dla opozycji rezultatu. I całkiem słusznie. Byłoby to przecież dowodem niesłychanego braku sił, gdyby król ustępując przed tego rodzaju naciskiem, usuwał gabinet opozycji nie miły. Z pałacu królewskiego ruszyła delegacja do parlamentu; towarzyszył jej tłum ludzi, który po drodze wzrósł do kilkuset głów. Cała ta rzesza wtargnąć chciała gwałtem do izby obrad, mimo wezwań oficerów rozstawionych w budynku dla utrzymania porządku na wypadek przewidywanych zaburzeń. Znowu tedy przyszło do starcia. Pokazało się, że opozycja szła przygotowana na ostre spotkanie, gdyż padły strzały. Jeden z nich trafnie wymierzony, położył trupem portjera izby w jej progu. W ogromnym chaosie jaki panował w tej chwili, nie podobna było natychmiast sprawdzić, kto jest mordercą, tem bardziej że obie strony obwiniają się wzajemnie o użycie broni palnej.

Przebieg samego posiedzenia izby był niemniej burzliwy. Na porządek dzienny weszła zaraz sprawa rozruchów poniedziałkowych. Deputowani Janasesco, Czarko i Schiler użalali się, że ich na ulicy zaczepiono i lżono. Na to odpowiedział minister spraw wewnętrznych, że inicjatorami skandalu byli członkowie opozycji i że rząd przedsięwziął środki, ażeby nie dopuścić już więcej do podobnych burzliwych manifestacyj.

W tej chwili podniósł się dep. Fleva z opozycji i swoim brutalnym sposobem odezwał się:

— Żałuję, że minister gada jak pamflecista!

W izbie powstaje gwar; niektórzy wołają: do porządku. Prezydent wzywa Flevę do porządku, co jednak nie wiele pomaga, gdyż mówca ten jeszcze energiczniej protestuje przeciw „pogróżkom“ ministra. Utrzymuje on, że zgromadzenie opozycji było nader poważne, ba nawet imponujące, tylko niepotrzebnie wmięszała się policja, która do walki wyprowadziła swoich agentów i zamiataczy ulic. Takiego rządu oczywiście — konkluduje p. Fleva — kraj dłużej znosić nie może!...

Odpowiada mu minister Sturdza, że gabinet cofnie się natychmiast skoro tylko król lub większość tego zażąda; nie zlęknie się on jednak wycia opozycji.

Znowu w izbie powstaje piekielna wrzawa. Głosy „do porządku!“ i „precz z nimi“ mięszają się i potęgują coraz to bardziej. Prezydent musiał zawiesić posiedzenie na pięć minut, dopóki się izba trochę nie uspokoiła.

Podejmując posiedzenie na nowo, oświadczył prezydent, że ubolewa nad tem, iż minister użył wyrazu nieparlamentarnego, sądzi jednak, że nie stosował się ten wyraz do opozycji w Izbie, ale do tych, którzy robią opozycją na ulicy. Następnie zabiera głos dep. Tache Jonescu, który w dłuższej przemowie utrzymuje, że rząd, przedsiębiorąc rozmaite zarządzenia względem zgromadzeń ludowych, wszedł na drogę despotyzmu. Kryzys gabinetowa była tylko czczą komedją.

Tak samo utrzymuje Fleva. W tej chwili wpada do Izby dep. Vernescu i ni stąd ni z owąd zwracając się do ministrów, woła: „Jesteście mordercami, boście nastawili żołnierzy, aby strzelali na lud“. I znowu minister Naku odpowiada, że skandal uliczny wywołała opozycja. Fleva woła z emfazą: „Chodźmy bronić ludu!“ Kilku z opozycji opuszczają Izbę, a gdy w tej chwili podnosi się minister Giani, ażeby odpowiedzieć, Vernescu woła: „Z mordercami nie mówimy“ i także opuszcza salę. Natychmiast po tej scenie zamknięto posiedzenie.

W ciągu dnia rozdawała opozycja drukowany manifest do narodu, w którym gromy ciskano na rząd, że rocznicę proklamowania królestwa splamiono krwią. Rzeczy zdawało się przybiorą groźną postać, gdyż przywódzcy starali się wszelkiemi sposobami wciągnąć także i młodzież akademicką w wir agitacji i walki.

Środowe posiedzenie Izby było widownią dalszego ciągu tej komedji opozycyjnej. Generał Lecca z ubolewaniem wspomniał o zajściach z dnia poprzedniego, dodając, że Izba była w niebezpieczeństwie, iż banda uzbrojonych rebellantów wprowadzi rodzaj stanu oblężenia. Dotknięci tem członkowie opozycji wznieśli prawdziwie piekielny wrzask, i odważnili się epitetami: złodzieje! mordercy! skierowanymi do większości i zasiadających na ławie ministrów. Obwiniali oni rządowców, że ci zamierzyli wykonać zamach na Flevę, podczas gdy członek partji rządowej Epurescu wołał nieustannie, że kula, która ugodziła portjera, ku niemu skierowaną była. Śledztwo dotychczas jeszcze nie wykryło po czyjej stronie jest prawda.

Na chwilę jakoś się uciszyło. Niebawem jednak zawiadomił prezydent, że deputowani Fleva i Filipescu skutkiem zajść wczorajszych uwięzieni zostali. Wrzawa piekielna wybuchła na nowo, a nad chaosem ogólnym dominowały tylko brutalne wykrzykniki, wymysły od ostatnich, jakich może jeszcze w żadnym parlamencie i w takiej masie nie użyto. Była to poprostu scena karczemna. Zaledwie jednak cokolwiek ułożyły się wzburzone fale, deputowany Lascar zainterpelował rząd, co uczynić zamierza, ażeby zapobiedz rozruchom, i przy tej sposobności zarzucił opozycji, że słowem i pismem propaguje mord i wojnę domową. Przytaczał on w tym względzie cytaty z pism opozycyjnych *Epoca* i *Lupta*. Wywody jego stały się powodem ponownej hecy. Deputowany Pacu wrzeszczał formalnie: „Kto narusza wolność ludu, temu należy się kula.“ Na to Lascar odpowiedział: „A cóż się stanie z wolnością wśród gradu kul?„ Dep. Statescu, obwiniając opozycję, podniesionym głosem wołał, że chce ona królowi zgotować los króla Ottona I (greckiego) i Battenberga. Po odpowiedzi ministra Pherykida na interpelację Lascara w tym duchu, że rząd użyje wszelkich legalnych środków, ażeby burdom tamę położyć, wyszedł na trybunę krzykacz i frazesowicz Carp, który z całą świetnością słowa bronił ulicznych

---

10)

PAMIĘTNIK

Antoniego Rozwadowskiego.

(Ciąg dalszy).

Dopiero od Smoleńska zaczęła się na dobre nasza ciężka praca, a co gorzej okropna nędza; nie mieliśmy ani chleba, ani nawet trochę soli, żeby okrasić mięso, które my, w awangardzie mieliśmy wprawdzie; lecz reszta armji, żywiła się już mięsem końskiem po większej części. Człowieka, miejscowego mieszkańca nigdzie się nie spotykało; za furażem trzeba było daleko na boki posełać, dostawało się z niezmiernym trudem trochę snopów siana, a czasem tylko słomy dla koni. Często po bitwie, cały dzień do późnej nocy trwającej, konie objadały baraki, zostawione przez Moskali, bo nie było czasu za furażem posełać. Z naszemi sługami i furażerami rzadko kiedy widywaliśmy się, bo ci pilnowali więcej rabunku na swoję rękę, jak dostarczania nam żywności, furażerom trzeba było to łajdactwo tolerować i nie zmieniać, to choć coś czasem który przywiózł, a jak spodziewał się, lub podejrzywał, że go zmienią, to już więcej się przy pułku i nie pokazał; w ten sposób formowała się ta podła zgraja tak zwanych maroderów. Furażerami nazywam ja, podoficera i kilku żołnierzy, których się wysełało dla wyszukania i sprowadzenia żywności dla ludzi, bo za tem trzeba było posełać daleko na boki i wielkiego przemysłu używać, aby coś dostać; za furażem dla koni jeździliśmy oddziałami, kolejno. Ze świtem każdego dnia siadaliśmy na koń; Moskale bronili zacięcie każdej piędzi ziemi, przy każdej strudze brali pozycję; okryci dymem palących się wiosek i karczem, odbywali rejteradę, a my, ustawicznie musieliśmy szukać przeprawy przez błotka i rzeczki, których tam jest bardzo dużo; tak, że często od świtu do późnej nocy siedząc na koniach, ledwie o pół mili zdołaliśmy się naprzód posunąć, takiemi drogami, taką pracą i głodem, najwięcej traciliśmy koni, ludzi dużo się spieszało, i ci pomnażali liczbę maroderów: mniej daleko traciliśmy od broni nieprzyjaciół, któremu jednak i my niewielką szkodę wyrządzaliśmy, chyba przez tych kilkunastu jeńców, którzy codziennie w nasze wpadali ręce.

Wszystkie wsie i budynki przed nami palili Moskale. Kilka dni było takich, że i po bokach wsie się paliły; między żołnierzami krążyła wieść, że to cesarz oddając Moskalom piękne za nadobne, kazał żandarmerji obozowej palić wsie po bokach położone; faktem historycznym jest jednak, że to ludność sama, sfanatyzowana i zastraszona przez popów i agitatorów, własne siedziby podpalała, chroniąc się z dobytkiem w lasy, jak podczas najazdów Tatarów i Mongołów. Chłopi łączyli się w bandy, które po bokach armji wraz z kozakami krążyły, podczas marszu i zbliżania się naszego do Moskwy; a gdzie się tylko dało, żołnierzy i maroderów naszych wybijały. Kilka stacyj poczty wojskowej, które między Moskwą a Smoleńskiem umieszczone były w opalisadowanych budynkach lub okólnikach z załogą jednej kompanji piechoty i 16tu jezdnych napadli, zdobyli i w pień wycięli; nam samym trafiało się, że chodząc za furażem, napotykaliśmy w lasach mieszkańców wsi okolicznych, obwarowanych wraz z dobytkiem zasiekami, które szturmem zdobywać, byliśmy zmuszeni.

Ruszywszy z pod Valentino, w parę dni marszu zastaliśmy Moskali w pozycji o milę pod Drohobużą; awangarda nasza zatrzymała się czekając nadejścia armji; płynie tam jakaś rzeka, której nazwiska nie pomnę, za tę rzekę wyprawiono nasz szwadron, dla rospoznania nieprzyjaciela; stanęliśmy na błoniu, pod pasieką; Godzki komenderował szwadronem, wysłał podporucznika Brześciańskiego na flankiery, a mnie z plutonem w jego asekuracji, bo zaczęli się pokazywać kozacy, flankiery oddziału, którego widzieć nie mogliśmy, bo był ukryty za górą; nasi flankiery posuwali się naprzód, a ja za niemi z wolna, bo mi widocznem było, że kozacy umyślnie za sobą pociągają! Godzki z resztą szwadronu za nami nie postępował, tak żeśmy go wreszcie z oczów stracili.

Brześciański widząc, że się flankierzy moskiewscy zgęszczają, rozkazał mi (jako rangą starszy) objąć dowództwo flankierów, a sam pojechał z raportem i po rozkaz co ma dalej robić; poznałem od razu że stchórzył, bo jako starszy i komendant nie powinien był opuszczać oddziału, już też i więcej się nie pokazał. Zostawiłem tedy mój pluton w assekuracji pod komendą sierżanta Wieluńskiego, a sam objąłem komendę flankierów; manewrując tak z godzinę, widzę że kozaków coraz więcej przybywa, wziąłem kilku żołnierzy ze skrzydła, a uważając że szczyt góry blizko, poskoczyłem naprzód i zobaczyłem kilka szwadronów jazdy podchodzących pod górę, aby nas tym sposobem oskrzydlić i zabrać; gdym powracał do swoich, kula mi u prawej nogi mięso przedarła; nie zważałem jednak na to, Wieluński podbiegł do mnie, obradziliśmy się szybko, i rozpuściwszy obydwa plutony na flankiery, aby szersze miejsce zająć, rozpoczęliśmy odwrót dwoma linjami, stępo, z wielkim oporem, bo nie można było inaczej, nie chcąc dopuścić bezładnej ucieczki. Tu podemną mego poczciwego skarogniadego zabito, siadłem na innego konia a żołnierz mi szmatą nogę okręcił, aby krew zatamować; tak manewrowałem z pół mili, aż spotkałem kapitana Zapolskiego, który odszedłszy od Godzkiego z 1000 kroków, stał ukryty za pagórkiem, niby mnie assekurując; Moskale zobaczywszy ten oddział, zatrzymali się. Gdyśmy wrócili do obozu żołnierze narobili krzyku, że byli opuszczeni od kapitanów, od komendanta i że mnie tylko winni swój ratunek; podniesiono ten wypadek i od tego dnia kapitan Godzki i podporucznik Brześciański służyć przestali.

Wieczorem chirurg opatrzył moję ranę, a że była lekka, wsiadłem napowrót na konia, od tego dnia jednak, niestety, nie miałem już własnego, trzeba było brać pierwszego lepszego, jaki się trafił; kawalerzysta rozumie co to znaczy, w ciągłej służbie, codziennie w ogniu nieprzyjacielskim, nie mieć swojego konia. Nocowaliśmy w tem samem miejscu. Po nadejściu armji, rano, stanęła nasza jazda na błoniu, brygada, w której służyłem, była w pierwszej linji, 24 armat ostrzeliwało nas ciągle a gęste flankiery ciągle nas droczyli. Książę pułkownik napierał się cały dzień szarży na te armaty, ale brygadjer generał Rouseille, który po rannym pod Witebskiem generale Niemojowskim objął dowództwo naszej brygady, połączonej z pruskimi huzarami, nie dopuszczał tego; ale po południu, nie wiem dlaczego i w jaki sposób król neapolitański zezwolił; poszliśmy tedy do szarży, ale zastaliśmy armaty przegrodzone od nas bystrą, z wysokiemi brzegami rzeką, o której dowódzcy nasi nie wiedzieli; my ponieśliśmy straty mniej dotkliwe, a pruskie huzary, idący za nami, stracili od jednego kartaczowego strzału majora, 27 ludzi i 43 koni; prowadzący nasze lewe skrzydło oficer, przytomny człowiek, rzucił się z najbliższym siebie oddziałem, bez komendy, na lewo, za nie wielki pagórek, całą brygadę za sobą pociągnął i ochronił od zguby.

(C. d. n.)

demonstracyj opozycji, twierdząc, że byłto objaw dobrze pojętego życia konstytucyjnego.

Natomiast otoczenie pałacu królewskiego kordonem wojskowym, napiętnował p. Carp jako fakt niezgodny z duchem konstytucji. Prześliczne pojęcia! Dać motłochowi wtargnąć w mieszkanie królewskie i robić co mu się tam żywnie spodoba, w takiej chwili rozbudzenia namiętności i instynktów — oto ideał konstytucji! Minister Nacu odpowiedział, że bierze wszelką odpowiedzialność za środki, jakie rząd przedsięwziął. Jeszcze deputowany Panu chciał protestować przeciw uwięzieniu Flevy i Filipesca, mówiąc, że sprawa ta musi być rzeczą dyskusji, ale prezydent zarządził zamknięcie posiedzenia.

Na dzisiejszem posiedzeniu wreszcie parlamentarna heca na razie przynajmniej dobiegła do końca. Po świetnej przemowie byłego ministra sprawiedliwości p. Statescu, Izba przystąpiła do **imiennego głosowania** nad trzema wnioskami.

Pierwszy wniosek postawiony przez opozycją, zawierał wotum nieufności dla rządu i żądanie wypuszczenia uwięzionych deputowanych Flevy i Filipesca. Wniosek ten odrzucono 90 głosami przeciw 42.

Drugi wniosek domagający się poprostu uwolnienia wspomnianych posłów z więzienia, odrzucono również 86 głosami przeciw 45.

Natomiast 87 głosami przeciw 36 uchwalono votum zaufania dla rządu.

Zwycięstwo rządu i większości jest tedy zupełne i świetne. We wszystkich głosowaniach rząd pozyskał większość dwóch trzecich części głosów. Opozycja poniosła w parlamencie klęskę dotkliwą. Motywa wniosku o wotum zaufania zawierają dosadną ale sprawiedliwą charakterystykę tej wielobarwnej opozycji, która krzykiem i frazesem, jątrzeniem bez miary i taktu, chce pogrzebać niezawisłość parlamentu.

Parlament przeszedł nad krzykami opozycji do porządku dziennego — a i ulica uspokoiła się także. Kraj cały jest spokojny; dobrze myślący obywatele i korporacje już wczoraj i dzisiaj nadesłali pisma i telegramy, wyrażające ufność rządowi.

Jeżeli nie wyrobionem przekonaniem, na pewnych danych opartem — bo te skonstatowane być mogą dopiero jako wyniki śledztw i dochodzeń sądowych — to pewno zdrowym instynktem kierujący się naród, przeczuł, jacy „i n n i szatani byli tam czynni" w inscenowaniu tych awantur i tej całej komedji opozycyjnej. A i świat dowiedziawszy się o tych zajściach, nie będzie podobno potrzebował zbyt swej domyślności wysilać, ażeby dojrzeć rączki matuszki Rosji — w tem dziele; za pomocą takiego zamachu próbowała doprowadzić ona do steru rząd, na któryby liczyć mogła, że w danym razie pozostawi jej wolny przemarsz do Bułgarji.

Tu leży tajemnica owej opozycji zrekrutowanej potęgą znanego rosyjskiego środka — rubla. Jestto charakterystyczne, że Rosja tylko wśród wyrzutków społeczeństwa znalazła tu sojuszników. Klęska, którą poniosła teraz w Bukareszcie, jest jeszcze sromotniejszą, aniżeli fiasco, jakie zrobiła z Battenbergiem w Sofji 21 sierpnia 1886.

Niestety, po tej aferze, której całym zyskiem jest chyba pouczenie Europy o moralnej wartości środków, któremi Rosja do swych celów zdąża, prócz dymu i wrzawy pozostała jeszcze krew nie zaschła i ofiara życia ludzkiego. Powinna ona być dla przyjaciół prawdziwej i rozsądnej wolności ludu i spokojnego jego rozwoju przestrogą i nauką, że nie po takich etapach, aranżowanych przez burzycieli i awanturników na żołdzie cudzym stojących, zdąża się do ideałów swobód — przez nikogo tu zresztą nie zaprzeczonych.

Upadek Francji.

Parlament francuski nieraz już bywał widownią fars równie gorszących jak obfitych w niespodzianki, ale nie przypominamy sobie, żeby na którемkolwiek jego posiedzeniu złożono tyle dowodów szalonej lekkomyślności, tyle zacietrzewienia wiodącego do samobójstwa, ile ich się zebrało w Wielki piątek. Obalano gabinety jak domki z kart, ale zawsze robiono to z jakiejś bodaj pozornej racji, a przynajmniej wtedy, gdy ta zabawa nie groziła republice, jako formie rządu. Teraz zaś najniespodziewaniej strącono gabinet Tirarda w takiej chwili, kiedy Francja zaczęła okazywać największe znużenie się republikańskim nierządem; kiedy w Marsylji wybrano deputowanym Feliksa Pyata, jenerała komuny i galernika, który w swej programowej mowie wyraźnie powiedział: „na gilotynę taką republikę! — wolę już cezaryzm, jak ją!" kiedy w Auvergne tłum napadł na jakiegoś dziennikarza i zbił go do półśmierci za okrzyk: „Niech żyje republika!" i kiedy w departamencie Aisne Boulangerowi, którego cezarzyści ogłosili tam „szablą opatrznościową", dano 45 tysięcy głosów, chociaż on wcale nie kandydował. To wszystko były znaki ostatniej przestrogi, danej przez ludność rozwydrzonemu parlamentowi, ale już on nie ma żadnej politycznej myśli, nie ma nawet samozachowawczego popędu, stronnicza nienawiść popycha go wprost do samobójstwa i do wymierzania śmiertelnych ciosów samej republice.

W Wielki piątek na porządku dziennym stała dyskusja nad całą polityką pierwszego gabinetu za prezydentury Carnota. Wiedziano bardzo dobrze, że ta dyskusja będzie ostrą krytyką zarówno rządów prezydenta, jak całego postępowania ministrów; rozumiano, że po tej dyskusji gabinet będzie musiał podać się do dymisji i tego właśnie chciano. Ale wobec wszystkich groźnych przestróg, jakie na parę dni przedtem ludność dała parlamentowi, on się zastanowił i tę dyskusją zepchnął z porządku dziennego, ratując tym sposobem gabinet na jego stanowisku, a siebie — od kompromitacji. Ministrowie odetchnęli swobodnie i udali się do senatu, gdzie właśnie toczyła się budżetowa debata.

Teraz dopiero zaczęła się niespodzianka. Deputowani ze skrajnej lewicy, zawzięci radykaliści Laguerre i Michelin, obaj przyjaciele Boulangera, nagle wystąpili z wnioskiem rewizji konstytucji. Propozycja ta padła jak bomba, umilkli na chwilę wszyscy, a nie przyszli jeszcze do siebie, gdy Pelletan poprawił ten wniosek dodatkiem, że nagłość ma być uchwalona dla tego wniosku i parlament natychmiast wybierze komisję rewizyjną.

Monarchiści akceptowali żądanie radykałów, bo oni zawsze pragnęli rewizji konstytucji, a myśl tego czynu tem chętniej teraz podjęli, że on musiał się odbyć przy okolicznościach nader niekorzystnych dla republiki, zgubnych dla gabinetu. Z tych samych powodów oportuniści wystąpili przeciw wnioskowi i oto izba rozdzieliła się na dwa obozy, które gorąco się starły.

Z obu stron mówiono szczerze, otwarcie, nic nie obwijając w bawełnę.

„Tylko monarchja może wyratować Francją z ostatecznej zguby, do której ona dąży i dla tego jesteśmy za rewizją!" — rzekł rojalista Baudry D'Asson.

„Republika powstała w widokach nieprzyjaciół Francji; kto kocha ojczyznę, musi za pomocą rewizji konstytucji dążyć do powrotu monarchji" — rzekł bonapartysta Jolibois.

„Francji trzeba dać głos. Niech ona powie, czy chce się ratować za pomocą monarchji, czy ginąć jako republika" — rzekł orleanista ks. Larochefoucauld.

Widzimy, że prawica mówiła otwarcie. To też oportunista, były szef jednego z kilkudziesięciu gabinetów i były prezydent izby Brisson, wszedłszy na trybunę, wygłosił świetną, gorącą pełną łez i błagań mowę, w której radykalistów wzywał do opamiętania się, cofnięcia wniosku, skoro sami widzą, jak go monarchiści chcą wyzyskać. Mówił tak, że mu radykaliści huczne dawali brawa i zdawało się, że ich przekonał. Lecz ledwo umilkł, ozwał się Clémenceau temi słowami: „Wszystko to bardzo piękne, ale teraźniejsza konstytucja jest zaprzeczeniem zasad demokratycznych, naród żąda zmian i dla tego potrzebna rewizja". A Andrieux dodał: „Naród żąda głosu, musimy wprowadzić powszechne głosowanie bez zwłoki, a to możliwe tylko przez odpowiedną zmianę konstytucji".

Wtedy mały Goblet wbiegł na trybunę i jął ciskać pioruny w „grabarzy republiki", a właśnie w trakcie jego mowy przybiegł z senatu Tirard i, gdy nań kolej przyszła, oświadczył, że gabinet nie bierze na siebie pod żadnym warunkiem odpowiedzialności za rewizję konstytucji, a stanowczo sprzeciwia się przyjęciu nagłości wniosku i stawia kwestję gabinetową.

I oto po tem wszystkiem zaczęło się głosowanie. Radykaliści i monarchiści głosowali za rewizją i nagłością wniosku, część oportunistów cichaczem opuściła salę, a reszta ich głosowała przeciw wnioskowi. Rezultat znany z sobotniego telegramu.

Gabinet natychmiast podał się do dymisji. Wieczorem izba znów się zebrała i tu w myśl poprzedniej uchwały, bonapartysta Cuneo D'Ornano zaproponował zaraz wysadzić komisję dla rewizji konstytucji. Wniosek ten upadł ogromną większością, na którą złożyli się oportuniści, radykaliści i reszta republikańskiego obozu. Chwilowy sojusz prawicy z radykałami upadł sam przez się.

Z tego wynika, że radykalistom wcale nie szło o rewizję konstytucji, lecz jeno bądź co bądź chcieli obalić gabinet Tirarda, który tem się był uratował, że z porządku rozpraw usunięto dyskusję nad całą polityką gabinetu.

Tak też intencję ich zrozumiał Carnot i nie wahając się przyjął dymisję rządu, boć przyrzekł tak tańczyć, jak parlament każe. W sobotę powierzył złożenie nowego gabinetu p. Floquetowi, który już dawno był upatrzony na następcę Tirarda i dlatego nie dawniej jak miesiąc temu przepraszał przed bar. Mohrenheimem Rosję za okrzyk wydany ćwierć wieku temu: *Vive la Pologne!* Floquet misję przyjął i tak podobno złożył gabinet: sobie wziął dwie teki, prezydencką i spraw wewnętrznych, Freycinetowi dał tekę wojny, Ricard'owi — sprawiedliwości, Bertholetowi — oświaty, senatorowi Boulangerowi (tylko imiennikowi eks jenerała) — finansów, Gobletowi powierzył tekę spraw zagranicznych, Peytralowi oddał roboty publiczne, admirałowi Kranzowi — marynarkę, Lockroy'owi — handel, a Viette'owi — rolnictwo. Główny program tego nowego rządu ma się streszczać w dwóch następujących zadaniach: Wybory do senatu będą się odbywały nie tak jak teraz, gdy senatorowie są niejako delegatami rad departamentalnych i z nich wychodzą, lecz za pomocą powszechnego głosowania (*suffrage universel*) — i wybory do izby deputowanych będą odbywały się dawnym przedgambetowskim sposobem, okręgami.

Zatem Floquet znosi to, co wprowadził Gambetta jako środek, który miał uratować republikę od rozkrzewiającej się w sposób niebezpieczny „zgnilizny" monarchicznej. W istocie, odkąd zaprowadzono wybory departamentami, dyapazon uczuć radykalnych podniósł się w izbie; zaczęto wypędzać klasztory, szkoły zlaicyzowano, proboszczom i wikarym odebrano pensje, duchowieństwo zarekrutowano do wojska i t. d; zadraśnięto więc ludność w jej najświętszych uczuciach, a wskutek tego monarchiści coraz liczniej zaczęli wchodzić do parlamentu i w końcu utworzyli potężne stronnictwo. Teraz więc Floquet zatrąbi do odwrotu — zapewne nadaremnie.

W gabinecie jego to jeszcze zwraca uwagę, że po raz pierwszy urzeczywistnia się dawna myśl drżących przed wojskiem „adwokatów", rządzących Francją jak szare gęsi. Oto człowiek cywilny, inżynier z zawodu, właściciel handlowych parostatków, utrzymujących komunikacją między Marsylją a Konstantynopolem, p. Freycinet został ministrem wojny.

W całości biorąc, jest to gabinet radykalno-oportunistyczny. Floquet zawsze się skłaniał ku radykalizmowi, Lockroy jest czerwony, inni albo oportuniści, jak Goblet, albo umiarkowani, jak Kranz. Ten zatem gabinet ma być wyrazem jedności wszystkich stronnictw niemonarchicznych, a więc pod jego przewodnictwem wszystko, co republikańskie, wypowie ostatnią wojnę wszystkiemu, co monarchiczne. Zapewne bój będzie zawzięty, a rezultat jego okaże się dopiero po przyszłych walnych wyborach, jeśli do nich dotrwa gabinet Floqueta, o czem już wątpią w Paryżu, przewidując, że popularny Floquet upadnie tak prędko, jak prędko upadł niegdyś popularny Gambetta.

Ostatecznie więc, jak słusznie mówią dzienniki oportunistyczne, Tirard upadł za to, że obalił Boulangera, bo rewizja konstytucji, wysunięta przez przyjaciół eks jenerała, była tylko pretekstem.

Mały Fejleton.

MANIUSIA.

Pamiętam ją, kiedy liczyła trzy miesiące życia...

Uwolniona z powijaków, leżała w kołysce bialutka, różowa, śliczna... Wszystko naokoło niej było różowe: i materacyk, na którym leżała, i firanki u kołyski, i kokardy ze wstążki, któremi matka zalotnie ustroiła kołyskę. Była tak dumną ze swojej córusi, a córusia w obłokach z batystu, koronek i wstążek różowych wygląda jak jutrzenka, ukazująca się na wschodzie we mgle porannej...

Spoglądałam na nią z uśmiechem, ale ona nie patrzała na mnie, nie patrzała na nikogo; zajęta była tak bardzo... Nóżkami wywijała w powietrzu, a obiema rączkami chwytała jednę z nich i ciągnęła usilnie, uparcie do swej buzi. Nóżka wymykała się co chwila, dziecię rozpoczynało robotę na nowo, przytem usteczka składały się do śmiechu, wydając dźwięki podobne do gruchania gołąbków, a oczy błękitne utkwione były uparcie w jeden punkt na suficie, jakby tam widziały swą jasną, szczęśliwą gwiazdę.

* * *

Obecnie Maniusia jest już panną dużą: ma sześć lat skończonych!

Czy jest ładną — nie wiem... dla mnie nie ma ładniejszej na całym świecie!... Twarzyczka jej biała i rumiana, jak jabłuszko świeże, oczęta błękitne i ładne, śmiejące się usteczka, które śpiewają głosem czystym i dźwięcznym, jak skowronek w polu, gdy zawodzi swoję pieśń poranną.

— Ładna i miła dziecinka, ale ma jednę wadę: leniuszek z niej wielki!.. za nic nie chce się uczyć czytać; taka duża dziewczynka, a nie zna jeszcze abecadła!

Ale trzeba się uczyć... Ciocia przyrzekła, że nauczy Maniusię czytać, mamusia będzie bardzo z tego rada, a dziadzio przywiezie śliczny gościniec z Warszawy. Jaki?.. Maniusia jeszcze nic nie wie, ale domyśla się. Pewnie to będzie taka duża lalka w krakowskiem ubraniu, jaką ma Wandzia, córeczka cioci Loni.

Ta właśnie lalka sprawiła, że Maniusia poznała dość szybko i ochoczo litery. Ale gdy przyszło do składania ich i lalka nic nie pomogła; ochota i cierpliwość uleciały, het — daleko!

Co prawda, niezbyt to miła rzecz, powtarzać ciągle monotonnie: a, b — ab; b, a — ba...

Na dworze deszcz kropi i spływa cieniutkiemi strugami po szybach. Ścieżki żwirowe wilgotne, a na trawnikach perlą się duże krople rosy.

Nie można biegać — trzeba się uczyć!...

Uczy się więc biedna Maniusia; twarzyczka jej spochmurniała, mgła znudzenia zasępia śliczne oczęta, w głosie drżą łzy tłumione. Czasami przestaje czytać i spogląda ukradkiem na ciocię. Jakże smutne są te oczęta!... mówią wyraźnie: co za okrucieństwo męczyć mnie tem nieznośnem czytaniem!...

Nakoniec przesylabizowała połowę stronicy i zatrzymuje się z nagłem postanowieniem, malującem się wyraźnie na rezolutnej twarzyczce.

— Czy ciocia kocha mnie trochę? — zapytuje z poważną minką.

— Jeszcze stronica nie skończona — mówi ciocia stanowczo.

Ale Maniusia spogląda na ciocię oczami, w których maluje się wyraźnie niema, błagalna prośba.

— Czy ciocia kocha mnie — powtarza — choć trochę, choć troszeczkę, choć tyle tylko?....

To mówiąc, pokazuje na koniec swego małego paluszka, bliziutko różowego paznogcia.

Silne postanowienie cioci mięknie jakoś. I cóż znaczy kwandrans nauki w porównaniu z przykrością, jaką cierpi biedna dziecina!

A maleństwo jednym rzutem swych bystrych ocząt dostrzega wrażenie, jakie słowa jej wywołały na twarzy cioci. Uśmiecha się, klaszcze w rączki radośnie.

— Już ja wiem, wiem! ciocia mnie kocha! — woła głosem, w którym brzmią wszystkie tony wesołe — ciocia mi pozwoli ?!.. Hanka bije masło w śpiżarni... pójdę, pomogę jej!...

* * *

Te smutne czarne litery, to nienawistna zmora dziecinnego wieku!...

Słońce świeci przepysznie, na dworze jasno i ciepło, ptaki świergocą, motyle fruwają nad kwiatami i tam, kędyś w ogrodzie odzywa się kukułka.

Maniusia tak lubi kukułkę!... Dziś rano jeszcze leżąc w łóżeczku, liczyła jej kukanie, brzęcząc przytem małą portmonetką, w której są śliczne, nowiutkie złotówki i cieszyła się, że będzie miała w tym roku pieniędzy dużo, dużo... teraz kukułka kuka tak pięknie, tam w dużej altanie, gdzie stoi huśtawka i kwitną fjołki w trawie; a Maniusia iść nie może, musi się uczyć.

Uczy się więc biedna, powtarza machinalnie wyraz za wyrazem, ale dusza jej cała w niepokoju, cała w spojrzeniu ocząt błękitnych, które wyrywają się co chwila za okno, na trawnik, tam, gdzie kwiaty i motyle, i jasne, ciepłe słońce.

A te wróbelki jakie szczęśliwe... fruwają sobie swobodnie z gałęzi na gałęź, trzepocą skrzydełkami, kąpią się w ciepłym piasku, a świergocą przytem tak hałaśliwie, że przeszkadzają Maniusi czytać. Mimowoli musi na nie patrzeć.

Teraz zebrała się cała ich gromada na żwirowanej ścieżce, powstał gwar jeszcze większy.. Znalazły ziarnko jakieś w piasku, i nie mogą się o nie pogodzić. Każdy chciałby je mieć dla siebie. Kłócą się więc wróbelki, trzepocą skrzydełkami, czubią się nie na żarty, już piórka wyrwane latają w powietrzu i podczas bitwy zawziętej nie przeczuwają nawet, jakie niebezpieczeństwo im grozi.

Tuż obok, za krzakiem dzikiego wina, ukryty między liśćmi, leży kot, wspaniały, biały kot angorski, faworyt cioci. Leży cichuteńko, ale bystrym wzrokiem śledzi każde ptaków poruszenie. Teraz, korzystając z kłótni, wysuwa się z za krzaka, czołga pomału, jak wąż, przypada do ziemi i znów się zbliża, czołgając... Już wysuwa jedną łapkę, już się podnosi...

Maniusia zrywa się z krzesła.

— Ciociu! — woła — pobiegnę tylko obronić biedne wróbelki, odpędzę kota.

Wybiega, jak strzała, z pokoju, a gdy raz dostała się na trawnik, gdzie motyle, kwiaty i słońce, któż je zwabić napowrót zdoła?... Tylko pobiegnie zobaczyć, co robi jej ulubione kurczątko, tylko złapie tego motyla, tylko zerwie ten jeden, ostatni kwiatek! Biega więc i buja na wyścigi z motylami, w końcu zmęczona, czerwona jak mak polny, wpada do pokoju.

— Ciociu, teraz będę się uczyła bardzo pilnie — mówi z poważną minką.

Figlarka!.. Spostrzegła wazę na stole, a wie, że dziadzio nie lubi czekać z obiadem.

* * *

I znowu nie nauczyła się francuskich słówek.

Ba! nietylko, że się nie nauczyła, ale jeszcze tupie niecierpliwie nóżką, odrzuca książkę z gniewem i powiada, że nie będzie się uczyła tych słówek, nie cierpi słówek francuskich, nie cierpi Francuzów, bo to pewnie brzydki jakiś naród, brzydki i nie mądry. kiedy mówi tak szkaradną, trudną mową. A oczęta jej błyszczą przytem tak zawistnym gniewem na Francuzów, jak gdyby była rodowitą Niemką.

— Tego już za wiele, moja panienko!...

Ciocia zagniewała się na prawdę, bierze dzienniczek i zapisuje pałkę, obok słówek francuskich.

— Oto masz pierwszą pałkę w dzienniczku, zobaczymy, co na to powie mamusia!

Pałka sprawia straszne wrażenie.

Gniew znika natychmiast z twarzy Maniusi, usteczka zaczynają drzeć konwulsyjnie, oczy patrzą przez chwilę z wyrazem przerażenia, potem wytryska z nich strumień łez gorących.

Płacze biedna Maniusia! Łzy rzewne zalewają różową twarzyczkę, rączki zaciska w bezsilnej żałości, na skroniach jej ukazują się nabrzmiałe żyłki niebieskie, całe ciałko wstrząsa konwulsyjne drżenie...

Biedna Maniusia! Może to pierwsza boleść młodego serduszka?... może ten płacz zaszkodzi jej jeszcze?.. może ciocia była zbyt srogą?... wszakże mogła się jeszcze nauczyć tych słówek, po cóż było pisać zaraz pałkę?

Ciocia tymczasem wyrzuca sobie surowość zbyteczną, gotowa jest do zawieszenia broni.

— Przestań płakać, Maniusiu, bądź grzeczna,

Ale słowa cioci, zamiast zmniejszyć, zdają się jeszcze powiększać jej rozżalenie, płacz przechodzi w spazmatyczne łkanie i łzy płyną, płyną, gorącym strumieniem. Każda z tych łez kamieniem pada na okrutne serce cioci, jak wyrzut sumienia..... Ach, wszystkie słówka francuskie, Francja cała nie warta tych szczerych, czystych łez kochanego dziecka!...

Ciocia podaje Maniusi wodę, wyjmuje z pudełka cukierek, ociera chustką zapłakane oczy.

— No, nie masz czego tak bardzo rozpaczać; możesz się jeszcze poprawić. Naucz się słówek, może poprawię stopień, z pałki można łatwo zrobić czwórkę...

To mówiąc, ciocia bierze pióro i pokazuje, jakim sposobem dałaby się ta operacja uskutecznić.

— Ot, tak, tylko te dwie kreski... patrz Maniusiu!..

Dziecię spogląda ukradkiem przez łzy i uśmiech nadziei rozjaśnia jej, łzami zroszoną twarzyczkę, jak promień słońca po ulewnym deszczu rozjaśnia zasmuconą ziemię.

— Niech ciocia przerobi tę pałkę! — szepce głosem błagalnym.

Czwórka zjawia się w dzienniczku. Maniusia śmieje się wesoło.

* * *

— Ciocia mnie nie kocha — mówi dziewczynka głosem żałośnym.

Siedzi na fotelu, z główką wspartą na poręczy, w postawie niedbałej. Nie śpiewa, nie szczebioce, wzdycha tylko głęboko.

— Ciocia mnie nie kocha — powtarza.

— Dla czego? — pyta ciocia, usuwa książkę i spogląda na dziecko.

Ale Maniusia nie patrzy na ciocię. Oczy jej błękitne błądzą gdzieś w przestrzeni, a wyraz ich tak tęskny i żałośny, że kamienne serce poruszyłby nawet.

Ciocia, która nie ma kamiennego serca dla swej pieszczotki małej, uśmiecha się do niej i mówi, że ją kocha bardzo, tem bardziej, że dziś dobrze umiała lekcje.

Z dalekich przestrzeni, po których błądziły, jasne oczęta spadają na ciocię, jak dwie gwiazdki promienne, błyszczące, ale głos dziecka jest jeszcze bardziej smutny, gdy mówi, potrząsając przecząco główką:

— Nie, nie! ciocia mnie nie kocha!...

I z okrucieństwem osoby dojrzałej, która wie, czem dokuczyć może, powtarza głosem stanowczym, z ironicznym uśmiechem na różanych usteczkach.

— Ja wiem dobrze, że ciocia mnie nie kocha, ani trochę, ani troszeczkę...

Tego już za wiele. Ciocia wyciąga ręce i mówi, gładząc pieszczotliwie jej włoski:

— No, chodź, chodź maleństwo moje! — powiedz com ci zrobiła, czem skrzywdziłam cię tak bardzo, mój gołąbku?...

W jednej chwili rozżalona dziecina siedzi już na kolanach cioci, przytuliła się do niej tkliwą pieszczotą i szepce skargę żałośną:

— Ciocia nie dała mi dziś ani jednego cukierka, ani jednej konfiturki!...

* * *

Czasami, gdy śpi w łóżeczku, uśmiechnięta do marzeń słodkich o lalkach czy aniołach, ja stoję nad nią długo, przyglądam się jej z rozrzewnieniem i myślę, czy też przyszłość jej będzie tak szczęśliwą, jak jej szczęśliwe dzieciństwo!...

I na samo przypuszczenie, że może być inaczej, serce ściska się boleśnie. Odsuwam tę myśl ze wstrętem... Nie, nie! patrząc na sen szczęśliwego dziecka, największy pesymizm musi wierzyć w szczęście!...

* * *

W starym wiejskim domu smutnie i samotnie, ale Maniusia ożywia go swem szczebiotaniem.

Głos jej, jak dzwonek, dźwięczy wesoło i rozlega się gamą srebrzystą po samotnem mieszkaniu.

Dziecino moja mała! jasny promyku, zesłany z nieba dla ozłocenia smutnych chwil starości!...

K. W.

Kronika.

Lwów, dnia 3 kwietnia.

† **Napoleon Korwin Sarnecki**, powszechnie poważany obywatel, zmarł w Wielką Sobotę nagle w majątku swym Turynka (w Żółkiewskiem), w 58 roku życia. Był to mąż wielkiej prawości i szlachetności charakteru. Rodem z Ukrainy, gdzie jego rodzina posiadała miljonowe dobra, przeniósł się po nieszczęsnem powstaniu do Galicji, tu się ożenił z hrabianką Tarnowską, rodzoną siostrą posła Stanisława Tarnowskiego z Śniatynki, a stryjeczną JE. pana Marszałka krajowego, nabył Turynkę i w niej osiadł, a wkrótce zasłynął na całą okolicę jako dobroczyńca ludu. W politycznem życiu nie brał wcale udziału, utrzymywał bowiem, że u nas i tak za wiele się robi na polu polityki, a za mało na polu społecznem. Rodzony brat śp. Napoleona, Zygmunt Sarnecki, pisarz wielkiego talentu, jest redaktorem *Świata*, dwutygodnika wychodzącego w Krakowie. Pogrzeb śp. Napoleona, na który wiele osób pojechało ze Lwowa, odbywa się dzisiaj w Turynce.

† **Józef Kieszkowski**, oficer 1 pułku szaserów wojsk polskich z r. 1831, umarł wczoraj dnia 2 kwietnia b. r. o godzinie 3 po południu, przeżywszy lat 80. Pogrzeb odbędzie się jutro we środę o godz. 5 po południu z domu pod l. 20 przy ulicy Krakowskiej na cmentarz Łyczakowski.

Lwowski c. k. Sąd krajowy wyższy zamianował Włodzimierza Leona Jankiewicza, c. k. komisarza Policji, przydzielonego do c. k. Prokuratoji Państwa — tłumaczem sądowym dla języka rosyjskiego.

Sejmiki relacyjne. Otrzymujemy następujące pisma: Zawiadomiony przez JW. Marszałka powiatu Bobreckiego, że jest życzeniem szanownych wyborców większej posiadłości okręgu Rohatyn-Bóbrka, poznać stan i dotychczasowy przebieg sprawy projektu rządowego o upodatkowaniu spirytusu, zapraszam Szanownych pp. wyborców na dzień 7 kwietnia b. r. na godzinę 12 w południe do sali rady powiatowej w Bóbrce.

M. Onyszkiewicz.

Zapraszam pp. wyborców większej własności na dzień 7 kwietnia b. r. o godzinie 4 popołudniu do Złoczowa w lokalu Rady powiatowej.

Skwarzawa d. 29 marca 1888.

Apolinary Jaworski,
poseł złoczowski.

Szanownych wyborców z kurji większej własności okręgu wyborczego Tarnów-Pilzno-Dąbrowa-Mielec, mam zaszczyt prosić, by celem wysłuchania sprawozdania z moich dotychczasowych czynności w Radzie państw, raczyli się zgromadzić w dniu 8-go kwietnia w Tarnowie, w sali Rady powiatowej o godzinie 3 ciej po południu. *Władysław Struszkiewicz.*

Bank krajowy. Dnia 30 marca grono urzędników Banku żegnało ustępującego z swej posady naczelnego dyrektora p. Antoniego Wrotnowskiego, który nazajutrz opuścił nasze miasto.

Po wręczeniu wspaniałego albumu z fotografjami wszystkich funkcjonarjuszów Banku, przemówił w ich imieniu p. B. Longchamps, dziękując ustępującemu dyrektorowi za jego życzliwość dla podwładnych, której materjalnym dowodem jest założony za jego inicjatywą fundusz zaopatrzenia dla urzędników Banku.

W odpowiedzi dyrektor Wrotnowski wyraził szczery żal, że musi pożegnać sympatycznych i doświadczonych swoich współpracowników, wypowiedział przytem nadzieję, że przy wytrwałej i sumiennej ich pracy uważa byt i dalszy rozwój Banku za zapewniony. Podnosząc, że tylko konieczność, wypływająca z jego osobistych stosunków, zmusza go do opuszczenia instytucji, której zakreślił program i wytyczył pierwsze drogi, dał wyraz przekonaniu, iż instytucja ta pójdzie dalej temi szlakami na pożytek kraju.

Serdeczne uściski dłoni zakończyły tę uroczystość świadczącą wymownie o szacunku i sympatji, jakie zdobył dla siebie żegnany dyrektor nietylko w szerokich kołach naszego społeczeństwa, ale również w najbliższem swojem otoczeniu.

Niechże tych kilka słów będą wyrazem uczuć, jakie towarzyszyły odjeżdżającemu przy jego wyjeździe z naszej stolicy.

Z Szczurowy nadsyłają nam skargę na to, że od pewnego czasu spóźnia się tam poczta lwowska o całe 24 godzin i tak np. gdy dawniej *Przegląd* przychodził do Szczurowy zgodnie z tą datą, jaka stała na czele numeru, to teraz nadchodzi o jeden później. Owóż ponieważ zdawany jest *Przegląd* na pocztę codzień stale o tej samej porze, to jest między 5 a pół do 6 popołudniu, przeto to jego spóźnianie się do Szczurowy musi mieć przyczynę albo w jakimś nowym rozkładzie ruchu pocztowego, o którym niezawiadomiono publiczności, albo też w tem, że koleje żelazne nie mogą jeszcze po ostatnich śnieżycach i powodziach przyjść do ładu.

Czyby kto uwierzył np., że kolej Karola Ludwika dotąd jeszcze nie przywróciła nocnych pociągów między Lwowem a Podwołoczyskami? Pociąg osobowy, który wychodzi ze Lwowa o godz. 10 m. 25 wieczorem, dochodzi tylko do Krasnego i tam nocuje. W skutek tego poczta przeznaczona dla całego Podola leży 15 godzin w Krasnem i dopiero następnego dnia pociągiem południowym rusza dalej, do Złoczowa, Tarnopola, Podwołoczysk etc. W obec tej *force majeure*, cóż winny Administracje pism, że nie mogą na czas dostarczyć prenumeratorom swych gazet? Na innych linjach kolejowych dzieją się takie same nieporządki, przerwy w ruchu pociągów, spóźnienia nieustanne etc. Nie ma dnia, żeby nie było jakiejś niedokładności. A ludzie kompetentni w sprawach kolejowych utrzymują, że jeszcze parę tygodni minie, zanim koleje wyłatają wszystkie szczerby i naprawią wszystkie szkody, jakie na torach, nasypach, groblach, wykopach porobił śnieg tegoroczny.

Prof. Leon Biliński odmówił wezwaniu Rady miejskiej miasta Stanisławowa, aby zdał relację z swej czynności poselskiej. Wystosował mianowicie pod adresem miejscowego burmistrza następujące pismo:

„Wielmożny Panie Prezesie! Wielce szan. pismem z dnia 23 b. m. do l. 2745 raczył mnie pan prezes zawiadomić, iż Rada miejska uchwaliła mnie wezwać do złożenia sprawozdania poselskiego w sprawie podatku od wódki. Chętniebym spełnił to życzenie świetnej Rady, nie zważając na brak jej kompetencji do powyższego żądania, gdyby interes kraju dozwalał sprawozdania w niniejszej chwili. Tymczasem sprawa podatku od wódki znajduje się obecnie w stadjum rokowań poufnych Koła z rządem, za czem byłbym w interesie pomyślnego jej dla kraju załatwienia zmuszonym, zachować najściślejszą dyskrecję właśnie w tej sprawie, interesującej teraz najbardziej szanownych wyborców. Jeżeli do tego dodam, że zostałem w Wiedniu umyślnie w tym celu, aby w czasie feryj wykończyć rozpoczęte sprawozdanie o podatku giełdowym i kasach górniczych, to będę mógł, sądzę, znaleść usprawiedliwienie nietylko u świetnej Rady miejskiej, lecz także u łaskawych wyborców moich, iż na sprawozdanie poselskie nie przybędę teraz, lecz aż w lecie po zakończeniu sesji Rady państwa. Zechce WPan prezes podać pismo niniejsze do wiadomości świetnej Rady miejskiej i przyjąć przy tej sposobności i t. d. Dr. *Leon Biliński* w. r. Wiedeń 25 marca 1888."

Wystawa etnograficzna. Wydział gospodarczy pierwszego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich postanowił urządzić w drugiej połowie lipca rb. w czasie zjazdu, wystawę lekarsko-przyrodniczą z oddziałem geograficznym.

Wezwani przez tenże wydział do objawienia swego zdania reprezentanci geografji we Lwowie, mając na względzie z jednej strony, że nauka geografji wymaga na wszystkich swych stopniach oprócz dobrych podręczników, pomocy map, atlasów i przyrządów, których poznanie, ocenienie i nabycie jest dla braku krajowych zakładów geograficznych z niemałemi połączone trudnościami; z drugiej zaś strony, że brak łączności między uczącymi czyni wymianę myśli a tem samem wzajemne udzielanie sobie zdobyczy nanaukowego doświadczenia i poprawę metody niemożebną, uznała wystawę geograficzną za rzecz pożyteczną i postanowili wziąć w jej urządzeniu czynny udział.

Do spełnienia tego zadania utworzyli komitet ze wszystkich nauczycieli i reprezentantów nauki geografji zamieszkałych we Lwowie, i przewodniczącym obrali dra Antoniego Rehmana, profesora uniwersytetu lwowskiego; sekretarzem Stanisława Majerskiego, nauczyciela gimnazjum Franciszka Józefa, i uchwalili, ażeby wystawa geograficzna obejmowała: 1. zbiór najlepszych map i atlasów; 2. najnowsze podręczniki geograficzne bez względu na ich język; 3. przyrządy służące do nauczania geografji; 3. metodyczne prace nauczycieli i uczniów krajowych, zwłaszcza z zakresu kartografji.

Komitet zajmujący się urządzeniem wystawy geograficznej odzywa się niniejszem do wszystkich

nauczycieli geografji, by przyszli z pomocą sprawie dotyczącej żywotnych interesów szkolnictwa, a mianowicie, ażeby — jeśli posiadają przedmioty nadające się na wystawę — raczyli uwiadomić o tem komitet najdalej do 1 czerwca rb.; te zaś, których wystawienie komitet za odpowiednie uzna, najdalej do 1 lipca rb. nadesłali i sami wystawę jak najliczniej odwiedzili.

Adres; Stanisław Majerski, Ulica Długosza 19 II piętro.

Park dra Jordana w Krakowie. O projekcie dra Jordana założenia parku angielskiego na Błoniach dowiadujemy się bliższych szczegółów.

Mając na oku wpływ naukowo etyczny głównie na podrastające pokolenie, a niemniej na szerokie warstwy ludowe, które mają się tu spotykać codziennie z pomnikami ludzi w ojczyźnie naszej sławnych i zasłużonych, dr. Jordan jako biegły znawca ludzi chce biusta ustawić w parku tak, aby sposobem uszykowania ich i wyborem miejsca wrażały się w pamięć zwiedzających.

Mają więc być ustawione w dwóch przestronnych kołach, które zakończą główną aleję, gdzie w niszach ze strzyżonych drzew staną pojedyncze biusta.

Zarazem zamierzonem jest urządzenie bojowiska gimnastycznego dla dzieci rzemieślników pod dozorem nauczyciela. — Prawdziwie szczęśliwa to myśl stworzenia dla dziatwy miejskiej zdrowego miejsca przechadzek i połączenia w niem ćwiczeń ciała z rozwojem serc i umysłów, a Krakowowi można tylko pozazdrościć takich mężów serca i rozumu jak dr. Jordan.

Nekrologja. W Krakowie dnia 31 marca zmarł nagle Karol Pawłowski, kustosz Wystawy Towarzystwa sztuk pięknych, przeżywszy lat 84. Był to człowiek powszechnie znany w stolicy podwawelskiej, a kto tylko zwiedzając wystawę miał sposobność zetknąć się z uprzejmym staruszkiem, temu pozostała w pamięci jego uczynność i dziwna słodycz w obejściu.

Pogrzeb odbył się w poniedziałek wielkanocny.

Ewelina z Siemianowskich Chajęcka 1 o voto Żebrowska zmarła w Żurawnie przeżywszy lat 78. — Pogrzeb odbędzie się w Żurawnie we czwartek dnia 5 b. m.

Franciszek Niebielecki woźny c. k. Namiestnictwa lat 58, i Franciszek Grabski, członek korpusu weteranów wojskowych lat 56, zmarli we Lwowie.

Bolesław Czerwieński, literat, poeta i dziennikarz, zmarł dzisiaj przed południem. Odbywszy studja filozoficzne na wszechnicy lwowskiej i dawszy się poznać w kołach młodzieży z talentu pisarskiego, zaciągnął się w r. 1870 do służby dziennikarskiej, którą pod kierunkiem ś. p. Jana Dobrzańskiego spełniał w *Gazecie Narodowej*, aż do chwili, kiedy dziennik ten zmienił właściciela i ś. p. Dobrzański usunął się z widowni. Od roku 1885 był ś. p. Bolesław Czerwieński współpracownikiem *Kurjera Lwowskiego*.

W dziennikarstwie uprawiał zmarły z powodzeniem dział recenzyj teatralnych, literackich i artystycznych; pozostawił też tom „Poezyj“ drukowanych w r. 1883. Nadto scena lwowska wystawiła jego tragedję, w młodzieńczych jeszcze pisaną latach p. t. „Niewolnik“. Później wspólnie z Aurelim Urbańskim napisał ś. p. Czerwieński komedję nie bez wartości p. t. „Nieboszczyk“. W ostatnich czasach zwrócił się ś. p. Czerwieński do śledzenia ruchu socjalnego i w tym kierunku pisywał od czasu do czasu obszerniejsze artykuły. W życiu koleżeńskiem odznaczał się uprzejmością i otwartością charakteru.

Zmarły pozostawił brata i staruszkę matkę, którą w krótkim czasie już druga bolesna dotyka strata. Zeszłego roku zmarł starszy jej syn ś. p. Zygmunt Czerwieński, kaznodzieja polski w kościele św. Ruprechta we Wiedniu — dzisiaj umarł syn drugi, którego talent wielkie z początku rokował nadzieje. R. i. p.

Z Żółkwi piszą:

Zgromadzenie wyborców z okręgu Żółkiew-Rawa Sokal zaproszono pierwotnie przez hr. Mniszka, posła do Rady państwa na dzień 3 bieżącego miesiąca, zostało odłożone i odbędzie się dopiero we czwartek, d. 6 bm.

Z Buczacza donoszą do jednego z dzienników o następującym fakcie:

Szesnastoletnia córka pewnego kupca z Monasterzysk, izraelitka, postanowiła przyjąć wyznanie katolickie. Opuściwszy dom ojca, schroniła się w okolicę Buczacza, gdzie się oddała w opiekę żandarmerji, która odstawiła ją do tamtejszego starostwa, jako władzy mającej ją zasłonić przed fanatyzmem jej współwyznawców. Pan starosta zajął się na razie — naturalnie z obowiązku swego urzędu — przyszłą neofitką, a gdy sąsiednie klasztory żeńskie w Niżniowie i Jazłowcu nie chciały czy nie mogły przyjąć tej dziewczyny w swoje mury, postanowił ją odesłać do Lwowa. Tymczasem w wigilję wyjazdu owej dziewczyny zjawiła się u starosty deputacja buczackich żydów, poczem pan starosta począł przekonywać owę żydówkę, iż źle czyni, pragnąc opuścić wiarę ojców. A gdy te argumenta nie odniosły skutku, nie omieszkał p. starosta użyć innych argumentów, zupełnie niewłaściwych.

Pragnęlibyśmy szczerze, aby tej wiadomości u rzędownie zaprzeczono.

Z Krakowa donoszą, że równocześnie z pięknym darem dr. Jordana, miasto otrzymało drugi od p. Ludwika Michałowskiego. Ofiarował on na rzecz Muzeum Narodowego zbiór szkiców i obrazów ceniony przez znawców na kilkadziesiąt tysięcy złr. Zbiór obejmuje rzeczy polskie lub obce, nas dotyczące. — Ofiarodawca pragnie, aby zbiory te, które syn jego, niestety zmarły, zamierzał ofiarować dla Muzeum, stanowiły zawsze nierozdzielną całość tak w katalogu, jak w sali, pod nazwą: Zbiory Tadeusza Skarbek Michałowskiego. Pan Ludwik Michałowski będzie te zbiory sam osobiście układał i będzie je kompletował aż do swej śmierci. Zastrzegł sobie p. Michałowski, iż w razie przejścia Muzeum na własność rządu, zbiory wracają do rodziny żony ofiarodawcy.

Rada miejska m. Krakowa przyjęła dar ten z prawdziwą wdzięcznością, powiększy on bowiem znakomicie i cennemi bardzo okazami Muzeum Narodowe.

O pożarze w Skolem dochodzą z tego miasta następujące szczegóły. W nocy z 29 na 30 o godz. 11½ wybuchł ogień w domu kolektanta loteryjnego — z powodów dotychczas nie zbadanych na pewno. Jedni utrzymują, że przyczyną pożaru była nieostrożność właściciela domu, który w nocy udał się ze światłem na strych, gdzie miał magazyn skór, inni natomiast twierdzą, że ogień był podłożony przez kogoś, kto miał pewne powody do nienawiści względem izraelity, utrzymującego kolekturę loteryjną. Bądź co bądź skutkiem gwałtownego wichru, pożar szerzący się w nocy, wkrótce a nawet nagle przybrał takie rozmiary, że nad niemi już zapanować ludzka siła nie mogła. W pośród powszechnego zamięszania w ogóle o jakimkolwiek ratunku nawet myśleć nie było można; nie zdołano nawet wyciągnąć sikawek z pod szopy, gdzie stały naturalnie puste — panika była tak wielką, że każdy usiłował ratować życie.

W liczbie spalonych domów znajduje się także kościół, szkoła ludowa, urząd podatkowy, urząd pocztowy, gminny i koszary straży skarbowej. Ze sprawionych w r. 1886 parowych przyrządów zaledwo kilka zdołano uratować. Z ogólnej liczby 107 domów które spłonęły do szczętu było tylko trzydzieści kilka ubezpieczonych. Przeszło 200 rodzin pozbawionych jest pierwszych środków do życia.

Od drogi stryjskiej na lewo cała prawie część miasta pomiędzy drogą, cmentarzem i budynkiem sądowym doszczętnie spalona, a i po prawej stronie cmentarza spłonęło kilkanaście budynków. Domy były w przeważnej części drewniane, kryte gontami; murowanych i krytych blachą było zaledwie kilka.

Celem niesienia pomocy zawiązał się komitet ratunkowy, w skład którego weszli księża, naczelnik sądu, naczelnik gminy, radni i pełnomocnik dóbr. W pierwszej chwili na wieść o pożarze przysłał Wydział krajowy 200 zł., prezes rady powiatowej 100 zł., fundusz powiatowy 100 zł., właściciel dóbr Skole 500 zł., co czyni razem kwotę 1050 zł., którą to sumę rozdzielono pomiędzy najbardziej potrzebujących.

Komitet ratunkowy w Skolem ogłasza następującą odezwę:

„I znowu nowa klęska dotknęła nasz biedny kraj. Miasteczko Skole leży w większej połowie w gruzach, dotknięte straszným pożarem. 107 domów, kościół rz. kat., szkoła, urząd podatkowy i pocztowy uległy całkowitemu zniszczeniu. 228 familij (1000 dusz) bez dachu i pożywienia. Miasteczko samo przez się ubogie, liczące do 2000 mieszkańców, nie może pospieszyć choćby tylko z chwilową pomocą. Zawiązał się na prędce komitet, na ręce którego złożył współwłaściciel dóbr kwotę 500 zł., uzupełnioną na razie pojedyńczemi datkami do kwoty 750 zł., która zaraz w pierwszym dniu rozdaną być musiała. Pomoc natychmiastowa bardzo potrzebna, czy to w gotówce, czy w wiktuałach, lub nawet odzieży. Odzywamy się do wypróbowanej ofiarności współobywateli o pomoc. Wszelkie datki nadsyłać należy pod adresem ks. dziekana obrz. gr. kat., Włodzimierza Marcinkowa. *Bis dat, qui cito dat!*“

Pożar Seretu. Równocześnie prawie z wielkim pożarem w Skolem, wybuchł dnia 29 z. m. wieczorem pożar w Serecie na Bukowinie. Ogień wszczął się w stajni szynkarza Leona Lasta. Przy dość silnym, południowo-zachodnim wietrze, ogień rozszerzał się gwałtownie. W jednej prawie chwili kilka jednopiętrowych domów stanęło w płomieniach. Tamtejsza straż ogniowa przybyła natychmiast na miejsce pożaru, atoli ratunek był prawie niepodobnym, a to wskutek niesłychanego gorąca, ponieważ w Serecie domy stoją, jak przylepione, obok siebie. Spłonęło tedy doszczętnie 34 domów wraz z pobocznemi budynkami, a szkoda ogólna wynosi więcej, niż 300.000 złr, Realności, które spłonęły, tylko w małej liczbie były ubezpieczone.

Koło literacko-artystyczne. Zapowiedziane na wieczór Wielkiej soboty wspólne spożycie święconego jaja, z wymianą życzeń, coroczynie składanych w dzień Zmartwychwstania między krewnemi, przyjaciołmi a nawet znajomemi, zgromadziło liczny zastęp członków w lokalu Koła.

Po godzinie ósmej gwar wzajemnych życzeń, towarzyszonych przyjacielskiemi uściskami dłoni i brzęk widelców o talerze napełnione święconemi jajami rozlegał się w salonach Koła, zapełnionych po brzegi ludźmi pokrewnemi sobie wspólnością zawodowej pracy, zgodnością przekonań lub chociażby wzajemną sympatją.

Wnet za tem zapowiedziany odgłosem bębna, w którego bił wychowanek smorgońskiej akademji, rozpoczął się humorystyczny turniej artystów naszej sceny, w którym o wywołanie największej dozy wesołości z równem szczęściem walczyli pp. Frenkiel, Wojdałowicz, Ruszkowski, Skalski, pozostawiwszy część wokalno-muzyczną pp. Jerominowi, Wszelaczyńskiemu i Niewiadomskiemu, który przy akompanjamencie fortepianu z wyborną precyzją wzgwizdał szopenowską Nokturnę.

Dopiero Koło-północy umilkły fale śmiechu i przebrzmiał ostatni akord wesołej biesiady ducha, która swoją lekką treścią więcej przypominała karnawałowe zabawy niż wzniosłą uroczystość Zmartwychwstania, którą wczoraj święcił cały świat katolicki a która dla serc polskich od Karpat po Dźwinę była i będzie świętem narodowych nadziei.

Czy na kole literacko-artystycznem nie ciężył obowiązek danie ciepłem słowem wyrazu tym nadziejom — niech odpowie jego zarząd, który urządzał w ten dzień wzniosłych wspomnień — mięsopostną arlekinadę.

Hr. Logothetti długoletni kierownik stadniny rządowej w Drohowyżu, na którem to stanowisku zjednał sobie powszechne uznanie naszych hodowców koni, przeniesiony został do Radowiec na Bukowinie. Opuszczając Galicję ogłasza hr. Logothetti pismo następujące.

Do szanownych P. T. hodowców koni w Galicji.

Na wniosek c. k. Ministerstwa rolnictwa i inspektoratu wojskowego c. k. zakładów chowu koni, zostałem mianowany komendantem i dyrektorem c. k. państwowej stadniny w Radowcach.

Będąc więc zmuszony opuścić Galicję, gdzie ze strony szanownych hodowców koni przez wiele lat mojego działania tyle zaufania doświadczyłem, poczuwam się do obowiązku za to prawdziwie przyjacielskie przyjęcie szan. P. P. moje szczere podziękowanie złożyć i zapewnić, że usiłowaniem mojem zawsze było, życzeniom i potrzebom wszystkich interesowanych według możności zadość uczynić.

Żywię nadzieję, że i na teraźniejszem stanowisku w możności będę skutecznie wspierać hodownictwo koni w Galicji.

Radowce, w marcu 1888.

Włodzimierz hr. Logothetti.

pułkownik, komendant i dyrektor c. k. państwowej stadniny w Radowcach.

Z kolei Karola Ludwika donoszą nam, że z dniem 3 bm. poczną znowu między Krasnem i Podwołoczyskami kursować nocne pociągi nr. 9 i 10.

Oszustwa z biletami kolejowemi. Od dłuższego czasu nadmierna liczba podań o wolne karty do jazdy koleją, zwróciła uwagę dyrekcyj wiedeńskich kolei państwowych i policji, która zajęła się sprawdzeniem tożsamości osób, mieniących się być w prawie do żądania wolnych kart jazdy. W ubiegłym tygodniu udało się przychwytać dwóch takich — bez tytułu. Mianowicie w czwartek d. 29 z. m. zgłosił się w sekretarjacie kolei Południowej jakiś pan, który przedstawił się jako wyższy urzędnik austrjackich kolei państwowych i wręczył sekretarzowi podanie o bilet wolnej jazdy 2 klasą z Wiednia do Tryjestu dla siebie i o bilet po zniżonej cenie dla swojej żony. Zostawiwszy to podanie ukłonił się grzecznie i odszedł, zrobiwszy uwagę, że nazajutrz celem odebrania karty zgłosi się osobiście w sekretarjacie. Szczególnym trafem podanie nie było podpisane przez petenta, a w napisie zamiast „Do świetnej Dyrekcji kolei Południowej, stało: Do świetnej Dyrekcji kolei Państwowych w Krakowie“. — Z boku obok tekstu podania była praktykowana zwykle konkomitacja tej osnowy: Polecam najusilniej. Następowała stampilja: Dyrekcja ruchu kolei Państwowych w Krakowie, oraz podpis: Seferowicz, inspektor ruchu. Podpis ten jednak położony był ręką bardzo niepewną, a zarządzone natychmiast porównanie z innymi podpisami p. Seferowicza okazało, że ten podpis podejrzany był jak najoczywiściej sfałszowany. Dyrekcja kolei postanowiwszy działać ostrożnie, ograniczyła się do zawezwania tylko tajnego agenta policji, któryby sprawdził tożsamość osoby petenta. Skoro tedy petent przyszedł na drugi dzień po kartę, agent policyjny, udający urzędnika, już czekał w biurze. Owóż przedewszystkiem zapytano nieznajomego, czy jest w istocie urzędnikiem kolei państwowych, a gdy dał odpowiedź potwierdzającą, poproszono go bardzo grzecznie, ażeby raczył zaopatrzyć podanie podpisem którego dotychczas brakowało. Petent podpisał się tak: „Józef Ociesalski, urzędnik kolei Państwowych“. Naówczas zwrócono się do dyrekcji kolei państwowych z zapytaniem przez telefon, czy mają tam takiego urzędnika, a gdy nadeszła odpowiedź przecząca, zaprowadzono petenta do biura syndyka kolei Południowej, gdzie przesłuchiwany powikłał się mniemany p. Ociesalski w takich sprzecznościach, że go dyrekcja oddała bez zwłoki w ręce policji. Policja niebawem sprawdziła tożsamość podejrzanej osoby. Jest nią Stanisław Wartalski, liczący lat 54, żonaty, ojciec trojga dzieci. Podczas dokonanej u niego rewizji domowej zabrano rozmaite podania, stampilje, wzory podpisów i t. d. świadczące, że Wartalski na większą skalę i od dłuższego czasu uprawiał już to oszustwo, z którego miał pewien, choć nieznaczny dochód, sprzedawał bowiem wolne karty za byle co. Wraz z nim uwięziono także jego wspólnika, Józefa Czechowicza, pochodzącego z Brzeżan, liczącego lat 40. Obaj byli członkami polskiego stowarzyszenia „Praca“. Wartalski trudnił się drobnymi komisami, ale nie miał dostatecznego zarobku. Z dochodzenia śledczego okazało się, że blankiety krakowskiej dyrekcji ruchu kolei państwowej i opatrzone podpisem zastępcy dyrektora Seferowicza, otrzymał Wartalski od Czechowicza, a ten znowu jak twierdził, dostał je od jednego z podrzędnych urzędników krakowskiej dyrekcji.

Tego prostego zresztą oszustwa dzienniki wiedeńskie nie omieszkały wyzyskać na swój sposób, ażeby wysnuć z niego jakieś insynuacje w tym kierunku, że Wartalski i Czechowicz jako członkowie polskiego stowarzyszenia potrzebowali mnóstwa biletów jazdy do licznych podróży w jakichś — bliżej nieokreślonych — celach tego stowarzyszenia.

Z Oświęcima donoszą o nowej fundacji pamiątkowej z powodu 40letniej rocznicy panowania Najj. Pana. Ofiarodawcą jest ks. Tomasz Kolasiński, obecnie proboszcz w Oświęcimie, a przedtem przez lat kilkanaście w Domasłowicach pod Tarnowem.

Szlachetny ten kapłan, który już pierwej jako konsystorjalny inspektor szkół ludowych przyczynił się do założenia czteroklasowej szkoły w Zakluczynie, ofiarował dla szkoły w Domasłowicach kapitalik, od którego odsetki mają być używane na zakupno katechizmów dla tamtejszych biednych uczni.

Wyprorokowany. Słynny publicysta francuski (do stronnictwa monarchicznego należący) Ludwik Veuillot, autor „Zapachów Paryża“, ubolewając przed laty nad losami obalonego tronu Francji, smutny stawiał horoskop rzeczypospolitej, a kończąc swą mowę, zawołał: „Zobaczycie, do czego doprowadzą kraj rządy republikańskie. Tron na nowo wzniesiony zostanie, stanie się pastwą pierwszego lepszego zuchwalca fryzjera lub piekarza!... *il sera á la merci d'un coiffeur ou d'un boulanger.*“ — Tworzące się i w siłę wzmagające się we Francji stronnictwo polityczne jenerała Boulangera wyrazom tym nadaje cechę... ośmieszającej go przepowiedni.

Karaś po polsku. W Krzemieńcu zawiązali w tych czasach oficerowie rosyjscy kasyno. Liczba ich wszakże nie była dostateczną do utrwalenia bytu zawiązanego kółka, dlatego rozpoczęto gorliwą agitację, aby obywateli Polaków wciągnąć do kasyna. Agitacja powiodła się i dość liczni obywatele polscy z miasta i okolicy nie chcąc się narażać urzędowym figurom i wojskowym, do kasyna się zapisali. Rzecz prosta, iż językiem towarzyskim w kasynie był rosyjski. Przy kasynie była i restauracja. — Otóż *menu* jednego dnia obiadu, po rosyjsku drukowane zawierało „karasia po polsku“. To, że niwinna rybka „po polsku“ miała być podaną, oburzyło do wysokiego stopnia komendanta miasta generała Safonowa, a rezultatem irytacji „mądrego“ generała jest fakt, iż wszyscy obywatele Polacy z kasyna wystąpić musieli. Fakt powyższy komunikuje jedno z pism krakowskich.

Grad. Z Krakowa nam donoszą, że wczoraj o godz. 5 popołudniu spadł tam grad wielkości grochu. Grad ten padał przez pół godziny, a podczas tego słońce prześlicznie świeciło.

Nadużywanie portretów. Od pewnego czasu przemysłowcy nowojorscy umieszczają portrety pani Cleveland, żony prezydenta Stanów Zjednoczonych na najrozmaitszych kartach reklamowych i inseratach. Pewien przemysłowiec umieścił nawet na reklamowej karcie obok portretu pani Cleveland portret pewnej aktorki, używającej nie najlepszej sławy. To dało powód, że reprezentant z Illinois, mr. Thomas, postawił w kongresie wniosek następującej treści: Każdy, kto portret jakiejkolwiek damy, czy to żyjącej czy zmarłej, wolnej lub zamężnej, córki, matki, lub siostry obywatela Stanów Zjednoczonych, bez zezwolenia tej damy publicznie wystawia lub w jakikolwiek inny sposób publikuje, winien jest ciężkiego przekroczenia i ma być karany aresztem lub grzywną w wysokości 500 do 5.000 dollarów.

Barwa bursztynu. Mikroskopijne badania wykazały, że przezroczystość lub nieprzezroczystość bursztynu zależy od mniejszej lub większej ilości pęcherzyków powietrznych znajdujących się w jego wnętrzu.

Zupełnie przezroczysty bursztyn jest czystą żywicą, która stężała i skamieniała po setkach lat, bursztyn zaś nieprzezroczysty powstał w ten sposób, iż żywica zmięszała się z sokami drzewa i w mięszaninie tej, wystawionej na działanie promieni słonecznych, powytwarzały się małe pęcherzyki powietrzne lub gazowe, które na zawsze w bursztynie pozostały, mącąc jego przezroczystość. Że tak jest a nie inaczej najlepiej się to okazuje, że często bursztyn nieprzezroczysty, po rozcięciu jest zupełnie wewnątrz przezroczysty. Do wnętrza bowiem nie doszły promienie słoneczne i nie wytworzyły się bańki powietrzne. Zresztą przekonać się o tem można w inny łatwiejszy sposób.

Cygarniczka z bursztynu nie przezroczystego staje się po długiem użyciu zupełnie przezroczysta, albowiem wskutek ciepła powietrze z tych pęcherzyków uchodzi.

Zapatrywanie to jest zupełnie przeciwnie przyjętym dotychczas poglądom. Sądzono powszechnie, że nie przezroczystość bursztynu pochodzi stąd, iż żywica wciągała w siebie mniej lub więcej wody.

Najpiękniejsze okazy bursztynu są barwy niebieskiej, która przybiera najrozmaitsze odcienia od blado- aż do ciemno-błękitnej. Barwa ta nie jest niczem innem, jak zjawiskiem opalizowania, wytworzonem przez refleksje światła łamiącego się na warstwach ułożonych tuż pod zewnętrzną powłoką bursztynu. Nader rzadki jest bursztyn koloru zielonego. Brunatna lub czerwono brunatna barwa bursztynu pochodzi bądź wskutek zbyt żółtej barwy, bądź też od działania płomieni ognia, który srożył się w przedpotopowych czasach.

Najważniejszą rolę w imitacji bursztynu odgrywa szkło; falsyfikat nader łatwo poznać się dający po trwałości. Do fałszowania bursztynu używają najczęściej kopalu, który topi się z kawałeczkami bursztynu, aby w ten sposób nadać falsyfikatowi zapach bursztynu. Kopalowe wyroby łatwo poznać po tem, iż materjał wygląda brudno, jest lepki, miększy od bursztynu, zmoczony eterem wonnym traci połysk i w eterze rozpuszcza się zupełnie; z celuloidu wytwarzają także falsyfikaty bursztynu podobnie jak korale malachit, *lapis-lazuli* i t. p. Celuloid wyrabia się w ten sposób, iż bawełnę strzelniczą poddaje się ogromnemu ciśnieniu.

Tak otrzymany celuloid posiada znakomite techniczne własności, jest jednakże nader zapalny. Przy temperaturze 140° C. lub przez silne uderzenie wybucha gwałtownie, a nadto trzymany w ustach oddziaływa szkodliwie na organizm ludzki. — Wyroby celuloidalne rozpoznać można łatwo po silnym kamforowym zapachu. — Podobne własności jak celuloid posiada niedawno we Francji wynaleziona ambrocela.

Małe kawałki i odpadki bursztynu pod ogromnem ciśnieniem powietrza stają się giętkie i podatne, wyrabiają z nich najrozmaitsze przedmioty. Wyroby z prawdziwego bursztynu poznać można po świetnej grze barw.

Zapobiegliwość Yankeesów. Ciekawa wiadomość nadchodzi ze Stanów Zjednoczonych. Donosiliśmy już, że prezydent Cleveland proponował Kongresowi związkowemu zawotowanie kredytu miljona franków, dla przyjęcia udziału w wystawie r. 1889. Projekt przyjęty przez komisję, miał być już przedyskutowany do sesji, gdy nagle ważna grupa przedstawicieli przypomniała sobie, że szefem obecnego gabinetu we Francji jest p. Tirard, który jako minister handlu, w r. 1882 wykluczył wieprze amerykańskie z francuskich targów. Zapobiegliwi ci przedstawiciele stawiają takie ultimatum: wieprzowina amerykańska uzyska prawo obywatelstwa na wspomnianych rynkach, lub też Ameryka nie będzie oficjalnie przedstawioną na wystawie przyszłorocznej. Ha! to trudno: albo się jest *business men'ami*, albo się nimi nie jest.

Literatura i Sztuka.

* **Teatr.** Z dniem dzisiejszym rozpoczyna się „nowy rok“ teatralny Dyrekcja teatru lwowskiego zapowiada cały szereg nowości, które w bieżącym sezonie mają wrychle przejść przez scenę. Pierwszą z nich będze „Hulaj dusza“ melodramat osnuty przez p. Walewskiego na tle legendy o Twardowskim. Do sztuki tej przygotowują się nowe dekoracje; garderoba i wszystko, co ma oddać wiernie podania o Twardowskiego przygodach. Potem następujące nowe, bądź oryginalne, bądź tłumaczone sztuki: „Szach i mat“ Blizińskiego (komedja na nowo opracowana), „Reprezentant domu Müller i spółka“ Koziebrodzkiego, „Podczas polowania“ Koziebrodzkiego, „Order króla Senegambji“ (Décoré) Meilhaca, „Hernandes“ Labiche'a i „Propinacja“ Abrahamowicza i Przybylskiego.

Część ekonomiczna.

= **Bank rolniczy we Lwowie** 31 marca.

W skutek świąt wielkanocnych tendencja bardzo mdła, ceny na wszelkie gatunki zboża są dość chwiejne i notują więcej nominalnie.

W nasionach popyt ożywił się nieco z powodu przychylnego stanu powietrza wiosennego.

Dziś notujemy za 100 kg loco Lwów:

Pszenica gotowa zł. 6.30 do 6.80, żyto gotowe 4.40 do 4.75, owies obroczny 4.30 do 4.70, jęczmień 4.— do 6.20, rzepak 10.— do 10.50, groch 4.— do 8.50, wyka 4.50 do 5.20, bobik 4.50 do 5.—, hreczka —.— do —.—, kukurudza 4 — do 5.—, chmiel (56 kilo) —.— do —.—, koniczyna czerw. 25.— do 38.—, biała —.— do —.—, szwedzka 40.— do 55.—. — Spirytus za 10.000 lpct loco stacje kolei 24 50 do 25.—.

U w a g a. Bank utrzymuje na składzie i w magazynach swoich owies, lucernę, koniczynę czerwoną białą, szwedzką, tymotkę i wszelkie nasiona do zasiewów wiosennych. Przyjmuje zamówienia na maszyny rolnicze.

Wiedeń 31 marca.

Dzisiejsza postawa naszej giełdy dała dowód, że repryza zwyżkowa, zainicjowana przed dziesięcioma dniami, ustala się na tle pogodniejszego horyzontu politycznego, a efemeryczne wypadki nie tak łatwo mogą spekulację sprowadzić na manowce.

Pomimo bowiem wiadomości z Paryża o upadku ministerjum Tirarda i o zwycięstwie wpływów boulangerowskich, i wbrew wieściom z Petersburga o podwyższeniu stemplowego opodatkowania tamtejszych walorów — spekulacja nie cofnęła się w repryzie, lecz poparta stale silnem notowaniem rosyjskich walorów na giełdzie berlińskiej, objęła prócz papierów spekulacyjnych także pole rent i spokrewnionych im efektów.

W kierunku tym utrzymała się spekulacja mimo trudności ultima, który podrożył report i gotówkę uczynił mniej obfitą.

Zresztą największą zwyżkę, bo około pół procentu, zyskała węgierska renta papierowa, z papierów bankowych kredyty i uniony, zaś z kolejowych akcje kolei czerniowieckiej i kolei Karola Ludwika. Rubel stanął na 1.05 zł., a w terminatkach na ultimo kwietnia doczekał się kursu o pół centa wyższego od dzisiejszych notowań.

Z zamknięciem porannej giełdy notowano:

Kredyty austrjackie po odliczeniu kuponu dywidendowego 272·—, węgierskie 274·—, anglobanki 102 —, uniony 192·—, bankvereiny 84 —, laenderbanki 200·—, ludwiki 192·—, czerniowieckie 214·—, renta wspólna 77 60, srebrna 79 60, złota austrjacka 109 80, papierowa 5% 92 40, złota węgierska 96·20, papierowa 5% 83 50.

Telegramy „Przeglądu“.

Belgrad 3 kwietnia. Skupczyna wyraziła kondolencję z powodu śmierci cesarza Wilhelma.

Król, przyjmując skupczynę, oświadczył, że trzymać się będzie porozumienia z partją radykalną, a niemniej też wyraził nadzieję, że partja radykalna jak najściślej dopełni zobowiązań, ażeby wobec zagranicy zachowywać się spokojnie i umiarkowanie i wstrzymać się od wszelkich prowokacyj.

Król zapowiedział dalej, że zwalczać będzie energicznie wszelkie prądy, któreby po za skupczyną i rządem zapanować i broić zechciały, w końcu zaś położył nacisk na to, że i partje postępowa oraz liberalna mają w swem gronie mężów zdolnych i doświadczonych.

Bukareszt 3 marca. Ghika nie przyjął misji utworzenia gabinetu. Jest pogłoska, że w wiosce Urziczeni wybuchło powstanie chłopskie. Rząd wysłał tam wojsko.

Paryż 3 kwietnia. Gabinet utworzył się ostatecznie w następującym składzie: Floquet objął tekę ministerjum spraw wewnętrznych, Goblet spraw zewnętrznych, Freycinet wojny, Kranz marynarki, Ricard sprawiedliwości, Peytral finansów, Lockroy oświaty, Loubet robót publicznych, Viette rolnictwa, Legrand handlu.

Nowy gabinet zebrał się wczoraj popołudniu i odbył pięciogodzinną naradę. Zapewniają, że dziennik urzędowy nie ogłosi dzisiaj składu nowego gabinetu z powodu, że co do programu, jaki ma być izbie przedłożony jeszcze w łonie gabinetu porozumienie nie nastąpiło, a członkowie gabinetu należący do stronnictwa oportunistycznego cofnąć się gotowi. W takim razie Floquet ma utworzyć gabinet wyłącznie z żywiołów radykalnych. Kwestja rewizji konstytucji wywołała różnicę zapatrywań.

Według doniesienia *Havasa* z Avricourt, policja niemiecka wydala stamtąd wszystkich, którzy nie mają upoważnienia do pobytu w Alzacji.

Kursa giełdowe.

Wiedeń dnia 3 kwietnia. Godzina 10 minut 55. Renta wspólna papierowa 77 65 Renta wspólna srebrna 79·60 Renta 4% złota 109 70 Renta 5% papierowa 92·40 Akcje banku austro-węgierskiego 858 — Akcje austrjackie kredytowe 273·—. Funty szterlingi 126.60 Napoleondory 10·02½. Marki niemieckie 62·22·½

Z zbożowych targów.

3 kwietnia	Lwów	Tarnopol	Podwołoczyska	Czerniowce
Pszenica	6.15—6 75	6 ——6.50	5.80—6 40	6 —·—6.65
Żyto	4 10 4.75	2.——4.60	3.85—4.50	1.—·—4.50
Jęczmień	3.80—6.—	4.——5 —	3.80—5.50	4.30—5 65
Owies	4.30—4.70	4.10—4.50	3.75—4.50	3.50—3 85
Groch	5.— 9.50	4.——9.—	5.— 9.—	4.80 . 8.5.
Wyka	4.50 5.—	3.85—4.5	3.75—4 3.	4.10—4.8.
Rzepak	9.50 10.—	9.— 10.—	9 — 9·7	9.—10.—
Lnianka	—.——.—	—.——.—	—.——.—	—.——.—
Konic. czer.	25.—40·—	22.—38.—	20.—.35 —	20. –36.—
Konic. biała	40.—48.—	14.—36.—	20.—34.—	33.—45.—
Konic. szwed	—.——.–	—.——.—	—.——.—	—.——.—

wszystko za 100 kilo netto bez worka.
Chmiel za 56 kilo loco Lwów zł. 15—55 nominalnie.
Nowy chmiel od — do — złr. za 56 kilogramów.
Okowita za 10·000 litr. proc. Lwów loco —·— do —·—
Wiedeń 3 kwietnia. Pszenica od 7·38 do 7·62 Żyto od 5 83 do 6 08. Okowita 25.87½ do 26·12.½ **Berlin** 3 kwietnia. Pszenica 165 25 do 169·75 Żyto 119·75 do 124·— Okowita 95·25 do 96·10 **Peszt** 3 kwietnia. Pszenica 7·02 do 7 33 Żyto —·— do —·—. Okowita 24·50 do 24 75.

Lwów. Z Izby handlowej. 3 kwietnia 1888. —

1. Akcje za sztukę. bez kuponu bieżącego bez dywidendy:	płacą	żądają
Kolej galic. Kar. Lud. 200 zł. m. k.	— —	194 —
„ lwow.-czer-jass. 200 zł. w. a.	— —	214 —
Banku hip. galic 200 zł. w. a.	— —	281 —
„ kredyt. galic. 200 zł. w. a.	— —	216 —
2. Listy zastawne za 100 złr.		
Banku hyp. galic. 6 prc. w, n.	— —	— —
„ „ „ 5 „ „ „	96 25	97 50
„ „ „ 5 „ prem.	99 —	100 50
Banku krajowego 4½% w, a.	91 —	92 50
Tow. kred. galic. 5 „ „ „	99 25	100 50
„ „ „ 4 „ „ „	— —	88 —
„ „ „ 4½% „	91 40	92 50
3. Listy dłużne za 100 złr		
G. Z. kr. wł. (d. 6%) 3% w likw.	— —	54 —
„ „ „ „ (d. 5%) 2½% „	— —	48 —
4. Obligi za 100 złr.		
Indemnizacyjne galic. 5 prc. m. k.	99 75	101 25
Kom. banku kraj. 5 prc w. a. I. em.	99 50	101 —
Pożyczka kraj. z r. 1873 6 prc. w. a.	— —	105 —
„ „ „ 1883 4½% „	88 —	89 50
5. Losy.		
Losy miasta Krakowa	— —	19 —
„ „ Stanisławowa	— —	35 50
6. Monety.		
Dukat holenderski	5.90	6.—
Dukat cesarski	5.93	6.03
Napoleondor	10.—	10.10
Półimperjał rosyjski	10.35	10.45
Rubel rosyjski srebrny	1·40	1·50
„ „ papierowy	1·04—	1·06—
100 marek niemieckich	62.—	62 60—

Pociągi kolejowe

podług zegaru lwowskiego od dnia 20 paździer. 1887 roku

Do Lwowa przychodzą:	pociąg pospiesz.	Pociąg osobowy	Pociąg mięszany	Pociąg lokalny
Z Krakowa	**5.50**	**8.27**	11.35	**7.06**
„ Podwołoczysk	**10.24**	**3.05**	3.50	
„ „ na Podzamcze	**10.10**	**2.28**	3.19	
„ Czerniowiec	**10·03**	**3.35**	5.30	
„ Stanisławowa	**6·36**	9.35	**9.29**	
Ze Lwowa odchodzą:				
Do Krakowa	**10.44**	**4.10**	4.50	8.10
„ Podwołoczysk	6.10	**10.25**	12.38	
„ „ z Podzamcza	6.22	**10.55**	1.08	
„ Czerniowiec	6·20	**11.06**	12.22	
„ Stanisławowa	9.34	**6.35**	**5.20**	

Do Lwowa przychodzą:

Z Husiatyna, przych. pociąg osobowy o g. 4 m 35. Ze Stryja, Chyrowa przych. pociąg osobowy o g. 4 m. 35 i o godz. 8 m. 59.

Z Ławocznego, Chyrowa, Stanisławowa, Stryja i Husiatyna przychodzi pociąg osobowy o godz. **1 m. 35.**

15)

Salon i kulisy.

Z angielskiego przetłómaczyła
N. Krzyżanowska.

(Ciąg dalszy).

Głos jego brzmiał ojcowską słodyczą, tak dobrze od lat dziesięciu jej znaną. Wzruszona, Stella lica łzami zalane ukryła na ramieniu opiekuna, i stali tak czas jakiś, w głębokiem pogrążeni milczeniu; on, z obliczem marmurowo bladem, ciężką znamionującem walkę i boleść, ona, jak powój, szukający podpory, z pochyloną wysmukłą postacią, i główką w dziecięcem zaufaniu na jego złożoną ramieniu. On w pełni męskiego rozkwitu, ona w pierwszej wiośnie życia, zdawali się stworzeni do szczęścia i uśmiechów, a tymczasem jasne słońce, jakby na urągowisko, łzy ich oświecało tylko, w powietrzu zaś, niby smutna przepowiednia, brzmiały słowa artysty.

Ileż razy przychodziły one później Stelli na myśl, w chwilach ciężkich prób i zawodów! jak często przypominał sobie tę godzinę rozstania Marek, wśród nieszczęść, jakie przez nią i na niego spaść miały.

Wskazówki zegara posuwały się tymczasem z nieubłaganą szybkością. Pięć metalicznych jego uderzeń zbudziło w młodym artyście poczucie rzeczywistości.

— Muszę już jechać, — stłumionym wyszeptał głosem.

Drobne dłonie dziewczęcia silniej się dokoła ramienia jego zacisnęły.

— Nie, nie! — błagała, — zaczekaj, dopóki tamta nie przyjedzie.

Młody człowiek odsunął ją z lekka, i spróbował przez oczy mgłą zaćmione uśmiechnąć się smutnie.

— Nie mogę, — tłómaczył, czując, iż dłużej próby nie byłby zdolen znieść dzisiaj. — Nie mogę dziecko moje, wiesz że muszę grać wieczorem. Proszę cię, pozwól mi odjechać.

— Będziesz przynajmniej pisać do mnie?

— Odpowiem na listy twe, jeżeli... mnie dójdą kiedykolwiek. A teraz jeszcze jedno słowo: Gderałem ciebie dość często, jednak do wszystkich nauk muszę dziś jednę dodać przestrogę. Stello, wiesz o tem, że jesteś piękna, bardzo piękna, że uroda zapewni ci wpływ w świecie; o dziecię! nie używaj jej do złych celów! Nie bądź ani okrutną, ani bez serca; pozostań wierną własnemu przekonaniu, zasadom, jakie przez lat tyle starałem się wpajać w ciebie. Niechże dar rzadki, zesłany ci przez Opatrzność, nie zatruje tobie lub innym szczęścia. A teraz, żegnaj mi!

— Marku, — wyszeptała łagodnie, — dlaczego nie chcesz mi dać ani portretu, ani fotografji swojej? czemu nie pozwalasz zabrać nic, coby mi w oddaleniu mogło przypomnieć najdroższego i najlepszego przyjaciela mej młodości?

— Alboż bez tej drobnostki zapomnisz o mnie?— ze smętnym zapytał uśmiechem. — Nie, nie! jestem pewny, że nie; ale widzisz, tyle będziesz miała pięknych rzeczy do oglądania, iż oblicze starego opiekuna nie warte byłoby jednego wśród nich wejrzenia.

— A jednak tak pragnęłam mieć małą chociaż twoję miniaturę! Marku, przyrzeknij, że przyślesz mi ją później.

— Nie, najdroższa, — brzmiała łagodna odpowiedź, — nie mógłbym słowa dotrzymać, bo wolę, aby proste me rysy nie przypominały ci niepotrzebnie przeszłości.

— Pierwszy raz odmawiasz mej prośbie, — wyłkała. — Pierwszy raz jesteś niedobrym. O, Marku! nie zapomnij przynajmniej o mnie!

— Zapomnieć o tobie dziecino! Dopóki życia starczy, obraz twój towarzyszyć mi będzie; do ostatniego tchnienia, miłości mej dla ciebie nic zmienić nie zdoła. Bądź zdrową, Stello!

Przytuliła się do opiekuńczego jego ramienia, łkając tak gwałtownie, jak to kiedyś małem czyniła dziecięciem. Ileż to smutków urojonych, ile nieszczęść na wiernej jego wypłakała piersi! tylko, że wówczas Robson, tuląc ją w serdecznym uścisku, łzy srebrne z zasmuconych zcałowywał oczek, kojąc tkliwą pieszczotą żale dziewczynki; a dziś, kredowo blady, ze zmarszczką silną, łączącą dwa łuki brwi czarnych, stał bezwładnie, jak ktoś niewypowiedziane cierpiący męczarnie. Nie mogąc wreszcie dłużej panować nad sobą nie mogąc znieść płaczu jej, który chwilę rozstania tem cięższą mu czynił, rozłączył rączki Stelli i posadziwszy ją w fotelu, sam szybko salon opuścił. Zaledwo minąwszy ogród, skierował wzdłuż piaszczystej drogi gorączkowe kroki, już na zakręcie wytworny ukazał się powóz. Gdy mijał Robsona, ten rzucił mimowoli okiem na siedzącą w karecie siwowłosą kobietę; jedno to spojrzenie wszakże wystarczyło, aby na niej sprawić silne wrażenie zdumienia i przestrachu.

— Cóż za podobieństwo! co za dziwne podobieństwo! — wyszeptała. — Gdyby żył dzisiaj, tak samo by pewno wyglądał: ten sam wzrost i postawa, te same rysy, wyraz tylko inny. Chociaż nie... gdym go widziała po raz ostatni, miał właśnie podobną minę, był zgnębiony, jak gdyby ostatnia szczęścia nadzieja, znikła dla niego na ziemi.

I wspomnienia, przywiedzione na pamięć siwowłosej kobiety przez zmienione, śmiertelnie blade rysy Marka, rozrzewniwszy ją, uczyniły dziwnie słodką przy pierwszem ze Stellą spotkaniu. Niepomna formalizmu i etykiety, widziała w niej przedewszystkiem nie synowicę swego pana, lecz sierotę, macierzyńskiej potrzebującą opieki.

— Nic a nic niepodobna do Hattonów, — myślała, patrząc na dumne, czarnowłose dziewczę, siedzące na przeciw niej w powozie. — Musiała południową swą piękność i te cudowne czarne oczy po matce odziedziczyć chyba. Być może, iż dobrze to, że nie przypomina ojca; jego lordowska mość prędzej się do niej przywiąże za to. Szkoda jednak, że mr. Newell nie pozostawił syna, zamiast córki.

Stella milczała tymczasem, starając się powstrzymać łzy, cisnące się do oczu na myśl o wiernem kochającem sercu, które odtrąciła dziś dobrowolnie. Czy nowe życie wynagrodzi jej wielką tę stratę?...

Przyszłość bywa na szczęście zakrytą dla ludzi; gdyby bowiem Stella mogła była zobaczyć jeden choć jej obraz, byłaby pewno, pomimo nieustraszonej swej odwagi, odwróciła się od niego z dreszczem przerażenia, i zatrzymawszy powóz, wróciłaby piechotą pod skromny lecz zaciszny dach i opiekę tych, którzy jej tylko szczęście poznać dotąd dali.

VI.

Na platformie stacji kolejowej w Stourton stała grupa wykwintnie ubranych osób, przyglądając się odchodzącemu pociągowi, z którego wysiedli przed chwilą. Świst i zgrzyt lokomotywy słabł, w miarę jak długi sznur wagonów malał i niknął na zakręcie plantu.

Chwila ciszy, zapewniona przez odejście pociągu, do nader rzadkich tu należała. Stourton, jako jedno z większych miast fabrycznych, nadzwyczajnym odznaczał się ruchem. Wysokie kominy, czarnym buchające dymem, wskazywały wielkie odlewarnie żelaza; maszty zaś, piętrzące się w porcie, i gorączkowy, nieustanny ruch pociągów na stacji świadczyły o nadzwyczajnym rozwoju w handlu i przemyśle tego dosyć ludnego miasta.

Urzędnicy i posługacze kolejowi, przyuczeni do nieustannego gwaru i ruchu, nader rzadko dali się wypadkiem jakim wyprowadzić z równowagi, a jednak pomimo tego grupa osób czekających na platformie ogólną zwróciła uwagę.

Obecność ich tutaj łatwo się wszakże dawała tłómaczyć. Ciężki upał lipcowy nie pozwalał na zamykanie się w ciasnych pokoikach dworca kolejowego, a że przed wyruszeniem pociągu nie można było odebrać pakunków, czekali więc na liczne kufry i walizy, które poważny z siwemi bokobrodami kamerdyner odbierał w tej chwili pod rachunkiem od urzędnika kolejowego.

Prócz niego kręciło się jeszcze kilku lokai w sutej liberji, panna służąca z ciężką szkatułką od kosztowności w ręku, i wreszcie Francuz, pełniący widocznie rolę miejscowego *maitre de cérémonie.* Cała ta falanga służby czekała na skinienie chlebodawców, wśród których można było rozróżnić dwóch młodych i jednego siwowłosego pana, oraz wysmukłą piękną kobietę, strojną w popielaty jedwab i kapelusz taką samą okręcony gazą. Odsunięta nieco, stała na uboczu z pękiem róż w dłoni wytworną objętej rękawiczką i z wyrazem lekkiego znużenia na twarzy.

W tejże chwili jeden z uliberjowanych lokai, zbliżywszy się do młodych ludzi, zaczął coś szeptać niższemu z nich, z wyrazem widocznego zakłopotania.

— O co to chodzi? — zapytał siwowłosy mężczyzna, głosem spokojnym i nakazującym.

— Zaszła snać jakaś pomyłka z powozami, mylordzie, — objaśnił młody człowiek tonem pełnym szacunku. — Nie ma ich dotąd na stacji.

— A to jakim sposobem? Przecież przyjechaliśmy o naznaczonej godzinie.

— Troszkę spóźniliśmy się nawet, mylordzie. Może mrs. Fairfax nie zrozumiała dobrze przesłanych sobie poleceń.

Lord Elsdale zmarszczył gniewnie czoło, a z pod krzaczystych brwi jego wybiegło ku młodej, popielato ubranej damie, pytające wejrzenie. Naprózno jednak chciał posłyszeć jej zdanie; pochylona lekko, słuchała z uśmiechem słów młodego człowieka, dumna jej twarzyczka straciła w tej chwili swój zimny, wyniosły wyraz.

— Mrs. Fairfax nie mogła się pomylić, zaszło chyba coś innego, — objaśnił krótko. — Stello, i cóż ty na to?

— Na co, stryju Normanie? Przepraszam, nie słyszałam.

— Wyobraź sobie, iż nie przysłano powozów z zamku. Co się tam stać mogło?

— Jakto? zapomniano o nas? W rzeczy samej, to dziwne.

Brwi lekko w górę podniesione wyrażały gniewne zdumienie.

— Może stajenni urządzili bezrobocie, — zauważył młody człowiek żartobliwie. — Kto wie, czy w takim razie ja nie mógłbym stać się państwu użytecznym. Arnault, zobacz proszę cię, jaki tam wehikuł przysłano po mnie z Firholme'u?

— Amerykan, mylordzie, — objaśnił jeden z lokai, nim jeszcze zręczny Francuz zdołał spełnić rozkaz swego pana.

(C. d. n.)

Odpowiedzialny redaktor. **Wacław Masłowski.** Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. Z drukarni nar. W. Manieckiego. — Zarządca: W. Hodak.